

Jean Grenier

Albert Camus

Wspomnienia

Przekład i opracowanie
Kazimierz Brakoniecki

Olsztyn 2000
Centrum Polsko – Francuskie

© Editions Gallimard, 1968

Wydanie polskie © Kazimierz Brakoniecki, 2000

Książka ukazała się we współpracy
z Domem Bretanii w Poznaniu i Domem Bretanii w Wałbrzychu

Książka została wydana w ramach programu wsparcia wydawniczego BOY – ŻELEŃSKI i korzysta z pomocy francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Wydziału Kultury Ambasady Francji w Polsce i Instytutu Francuskiego w Warszawie oraz Instytutu Kultury Bretońskiej (Skol – Uhel ar Vro) przy Radzie Regionalnej Bretanii i Radzie Generalnej Loire - Atlantique

Ce livre, publié dans le cadre du Programme de participation à la publication BOY ZELENSKI, bénéficie du soutien du Ministère français des Affaires Etrangères, du Service Culturel de l’Ambassade de France en Pologne et de l’Institut Français de Varsovie

Ce livre est édité avec le concours de l’Institut Culturel de Bretagne/ Skol-Uhel ar Vro(Conseil Régional de Bretagne) et du Conseil Général de Loire – Atlantique

Wydawca
Centrum Polsko – Francuskie Côtes d’Armor – Warmia i Mazury
w Olsztynie

ISBN 83 – 908534 – 2 - 6

Od Autora

Książka ta ma na celu jedynie przypomnieć pewne aspekty osobowości Alberta Camusa.

Nie pretenduje ona ani do ukazania jego życia, ani do omówienia jego dzieła – to życie i to dzieło były już i są nadal badane w najdrobniejszych szczegółach.

Po prostu przynosi krótkie i powierzchowne - wynikające z życia codziennego – świadectwo, kiedy żyje się razem i gdy nie ma czasu na zadawanie pytań ani na odpowiedź. Chciałoby się ze swoimi przyjaciółmi dotknąć wielkich problemów, podyskutować o naturze człowieka i jego przeznaczeniu, ale oni już podjęli decyzję lub samo życie za nich zdecydowało, albo decyzja dojrzała w nich na skutek pojedynczego słowa, rzuconego przypadkiem przez kogoś z nas albo przez nich samych.

Nikt tego nie mówi, a każdy to czuje, że powściągliwość jest nieodłączną towarzyszką narodzin naszych myśli. To ona tworzy więzi, pozornie kruche, które uważam za niezniszczalne. Ale jak mówić o tych sprawach nie próbując ukazać niewyrażonej nigdy konfrontacji, nie mieszając jego nazwiska z moim, nie występując przeciw samej zasadzie powściągliwości?

I

Zawsze będę pamiętać to spotkanie z Albertem Camusem, kiedy miał on zaledwie siedemnaście lat. W 1930 roku, kiedy zostałem mianowany profesorem w liceum w Algierze, był uczniem ostatniej klasy humanistycznej i należał do licznej grupy uczniów tłoczących się w dniu rozpoczęcia roku szkolnego. Czy wyglądał rzeczywiście na niepokornego? Żeby mieć go na oku, powiedziałem mu, aby usiadł w pierwszym rzędzie. Minał tak chyba miesiąc, potem przez dłuższy czas nie widziałem go w klasie. Kiedy zapytałem o niego, odpowiedziano mi, że jest chory. Dowiedziałem się, gdzie mieszka. Nie znałem tego miejsca, znajdowało się ono na przeciwległym końcu dzielnicy, w której było liceum. Wreszcie zdecydowałem się i w towarzystwie pewnego ucznia, przyjaciela Alberta Camusa, wziąłem taksówkę, która szybko nas tam zawiozła. Dom wyglądał biednie. Wchodzimy na piętro. W pokoju widzę siedzącego Alberta Camusa, który mówi mi z trudem dzień dobry i odpowiada monosylabami na moje pytania o zdrowie. Ja i mój przyjaciel czujemy się tu intruzami. Po każdym zdaniu zapada milczenie. Postanawiamy wyjść. (Po pewnym czasie wydało mi się, iż podobny byłem do prokuratora, który miał skazanego na śmierć poinformować, że jego prośba o ułaskawienie została odrzucona). Czy taka postawa ujawniała bunt i wrogość ze strony tego, którego zobaczyłem? Wrogość tego typu nie mogła być skierowana we mnie jako takiego, ale w społeczeństwo, którego byłem przedstawicielem (stosunek profesora do ucznia). Albert Camus w rzeczywistości zaledwie mnie znał i nic nie mogło go do mnie źle usposobić. Jednakże poza tym należałoby liczyć się z jego młodzieńczą dumą. Był chory, biedny, pozbawiony ojca, żył w środowisku, w którym jego ambicje nie mogły być ani zrozumiane, ani wsparte, i ta duma czyniła go posępnym. Oprócz tego warto wspomnieć w tym miejscu o powściągliwości, o powściągliwości, która nakłania szlachetne dusze do niedzielenia się swoimi zmartwieniami. To ostatnie przeświadczenie nie pojawiło się wówczas, dopiero później uznałem je za rozstrzygające.

Nie szkodzi, że wola odmowy charakterystyczna była dla postawy tego młodego człowieka. Odmowa czynna, a nie – gdyby był to ktoś inny – całkowicie bierna. To buntownik, który mógł stać się rewolucjonistą, a nie pesymista gotowy stać się sceptykiem. W jego przypadku chodziło o energię, o energię niepotrafiącą jeszcze inaczej się objawić, jak przez napięcie wewnętrzne i wycofanie.

Oto co mi zostało w pamięci z tego spotkania: z powodów wtedy dla mnie niezbyt jasnych człowiek, do którego miałem sprawę, odtrącał wyciągniętą ku niemu rękę; widziałem oczami wyobraźni, jak swoją rękę chowa za siebie, i ten obraz na długo pozostał we mnie.

Widziałem go potem, jak odmawiał z góry pomocy oferowanej mu już przez innych lub przez ideologie, które same – z samego faktu, że były w stanie przynieść ulgę albo zaofiarować nadzieję – były nosicielkami własnego na siebie wyroku.

Uznałem go za „nieprzystępnego”, nie zastanawiając się ani nad powodem, jaki mógł mieć, ani nad mocą, która go do tego popychała. W środowisku szkolnym Albert Camus odnosił wielkie sukcesy; mogły go one satysfakcjonować. Powinienem być uważać na to, co w tym środowisku było sztuczne i powiedzieć sobie, że sukces w takim otoczeniu daleki jest od sukcesu jako takiego. Kiedy w pewnym momencie wydział oświaty w Algierze mianował go profesorem w Bel-Abbès, Camus udał się tam i natychmiast wrócił, ponieważ obowiązki okazały się ciężkie, a płaca licha. Miał rację. Cóż znaczyło to zajęcie w porównaniu z tymi,

które jego koledzy- bez wysiłku i przez przypadek, skoro dziedziczenie jest przypadkiem z punktu widzenia zasług – byli pewni, że dostaną? Krótkowzroczny umysł mógłby zarzucić mu, iż pogardza okazją do zarobienia na życie i poradziłby mu uzbroić się w cierpliwość, cnotę, którą jest się skłonny doradzać innym, nie uważając za dobrą dla samego siebie; zresztą trudno przekonać do niej kogoś, kto ma świadomość własnej wartości. Poza tym ile zawodów Albert Camus musiał wykonywać, aby z trudem utrzymać się przy życiu? Nie, ten rodzaj odmowy nie może być potępiony. Młodości może towarzyszyć totalna pogarda dla całego świata oraz silne pragnienie dominacji. Jest to wiek, kiedy nie sposób wyjść poza siebie.

Ten stan umysłu może też być oznaką błędnej opinii o własnej osobie, co spowodować może jeszcze poważniejsze błędy. Jednakże Albert Camus nie mylił się co do własnych sił, był doskonałym, rzecz to niezwykle rzadka, znawcą swojej wartości. Nie musiał rozliczać się ze swoich uczuć przed Stwórcą, nie musiał ufać Opatrzności. Wręcz przeciwnie, miał zyskać uznanie innych ludzi, chociaż jego punkt wyjścia był tak skromny, że musiał utwierdzić się sam pod karą unicestwienia. Unicestwienia? On już był unicestwiony i musiał z tego wyjść. To była sprawa życia lub śmierci.

Bardziej niż kto inny Albert Camus potrzebował, chcąc nie chcąc, sukcesu. Musiał zająć należne mu miejsce. Osiągnąwszy je, nie oczekiwał czegoś więcej. Sukces, którego konsekwencje są dla wielu przykre, na niego wpłynął szczęśliwie. Począwszy od momentu, kiedy został doceniony, mógł o nim zapomnieć.

Skromna sytuacja Camusa tak niezwykle poprawiła się, że stosunki pomiędzy nim a innymi zostały odwrócone. Zupełnie nie gnębiła go obawa o niedocenienie, a nawet taka myśl nie wpadłaby mu do głowy.

Atoli pozostawał dystans, dystans zanikający całkowicie w kręgu najbliższych osób, a uwidaczniający się w obcym środowisku, nie licząc ludzi prostych, których Camus traktował po bratersku. Dystans ten odpowiada jego myśli: Albert Camus nigdy nie traktował niczego lekko. Jeśli pomylił się w ocenie, co zdarza się wszystkim, to nie przez nieuwagę. Nikt nie był niż on mniej roztargniony. Zdarzało mu się być oszukany, ale on tego nie dostrzegał. Słowo zostało przecież dane.

To właśnie ten dystans budził szacunek i to on nadał jego dziełu wielkie znaczenie.

*

Pragnienie wielkości, tęsknota za szlachetnością uwidoczniły się nawet w wyborze przedmiotów, którymi się otaczał. Naturalna rezerwa nie wykluczała uczucia sympatii: przydawała jego noli me tangere prostego waloru obronnego przeciwko banałowi i podłości, dodając jeszcze więcej wartości jego poczuciu godności oraz przyjaźni.

Wracając do tego pierwszego spotkania, które zrobiło na mnie duże wrażenie, muszę powiedzieć, iż tak samo nie znikło ono z pamięci mojego ówczesnego rozmówcy. Dziesięć lat później pamiętał, jak mi wyznał, wszystkie jego szczegóły. Kiedy zrelacjonowałem mu część moich ówczesnych spostrzeżeń, odpowiedział: ” Ściśle mówiąc możliwe, że w moich oczach reprezentował pan Społeczeństwo. Ale pan przyszedł i tego dnia poczułem, iż nie jestem taki biedny, ak myślałem.” To, co wzięłem za wrogość, nie dotyczyło mnie osobiście. W jakiś czas potem wytłumaczył mi swoją pozorną oziębłość: niemożność wyrażenia pewnych zbyt osobistych uczuć, różnica wieku, która powodowała, iż zdawało mu się, jako młodszemu, że ten starszy – w określonej epoce pomiędzy szesnastym a trzydziestym rokiem życia każdy rok wart jest dziesięciu - posiada niebywale doświadczenie.

Ten punkt widzenia wydał mi się z czasem usprawiedliwiony. Jednak nie chciałbym minimalizować dystansu dzielącego Alberta Camusa od innych, ponieważ w tym dystansie znajdowało coś nieokreślonego. Skoro podjąłem się trudu pisania, muszę to jednak

sprecyzować, gdyż pisanie czasami jest zapisem tego, co ucieka spod pióra, co nie jest widowiskowe – więc nieokreśloność ta ukazywała osobowość w jej aspekcie podstawowym niczym rafę, która utrudnia wejście do portu albo po prostu (żeby użyć języka żeglarskiego) jako „pławę”, służącą statkom jako stały znak nawigacyjny. Jeśli kontakty nawiązywane są zbyt łatwo, jeśli jesteście z kimś natychmiast na równej stopie, do czego to prowadzi? Im bardziej stosunki pomiędzy ludźmi są nieskrępowane, jak w tym przypadku, tym bardziej są fałszywe.

Jasne, że nieporozumienie, które legło u podstaw naszych stosunków, nie trwało długo. Jeśli je tutaj przywołałem to dlatego, że stanowi ono kontrast pomiędzy głębokimi i mocnymi uczuciami więzi, które nastąpiły później. Poza tym w sposób wystarczający wyjaśniłem przyczyny mojej pomyłki.

*

Czego Albert Camus nauczył się ode mnie? Obcował z człowiekiem, którego obowiązkiem było uczenie go, jak tyłu innych, aczkolwiek to właśnie tylko jemu nauczyciel ten postanowił samorzutnie zwierzać się ze swoich marzeń.

Pisać to porządkować swoje obsesje.

Tak było w moim przypadku. Nic nie było mniej przemyślane niż ten wpływ, jaki mogłem mieć na Camusa. Osoba, która jest zamknięta w sobie, nie interesuje się na tyle innymi, aby pretendować do kierowania nimi. Może natomiast docenić wyróżniające się osobowości i pomóc im w rozwoju.

To, co mnie łączyło z powierzonymi mi młodymi ludźmi, polegało bardziej na tym, iż mogłem dać im wiedzę o nich samych, niż to, że miałem ich nauczyć. Uznałem, że swoją pracę najlepiej wykonam właśnie w taki sposób.

Zderzałem się z rezerwą okazywaną przez moich uczniów, z naturalną rezerwą w ich wieku, która następnie znika, kiedy chłopiec staje się mężczyzną i kiedy już nie wstydzi się więcej powiedzieć, co myśli, co czuje i czego pragnie. Prawdę powiedziawszy chłopiec w okresie dojrzewania chyba jeszcze tego nie potrafi. W kraju, w którym przedwczesna dojrzałość i bezpośredni język są na porządku dziennym, taki wstyd uczuć stanowił kontrast z bezwstydem fizycznym. Próbowałem z każdym pojedynczo dociec ich zainteresowań – nie stosując ani naukowych, ani technicznych metod, które jeszcze nie istniały, w których zresztą nie byłem kompetentny, ale uciekając się do przypadkowych konwersacji na pozornie banalne tematy. Wielu z nich wykręcało się jednak. Na pewno należałoby posłużyć się inną metodą; dobrze byłoby, gdyby okazała się jeszcze praktyczna.

Osiągałem lepsze rezultaty, kiedy zgadzali się złożyć mi wizytę w moim domu, usytuowanym na przedmieściach Algieru. Z tymi, których nie przyciągnęła tylko zwykła ciekawość, mogłem rozmawiać, pożyczać lub dawać książki, szczególnie najnowsze, i dyskutować o współczesnych prądach i autorach.

Kiedy niektórzy z nich stali się uczniami ostatniej klasy (première supérieure préparatoire) i przygotowywali prace pisemne, podsuwałem im tematy i publikowałem ich teksty w lokalnych pismach z nadzieją, iż publiczne ujawnienie tego, co pisali w tajemnicy, doda im odwagi. Uważałem, iż druk jest dobrą zachętą - może też stać się objawieniem, skoro nikt nie zna siebie, dopóki się nie wypowie.

Nie miałem żadnych złudzeń co do wartości tychże prac, poziom ich był nierówny. Nie jest jednak rzeczą bez znaczenia to, iż Albert Camus był jednym z takich uczniów i napisał tekst o Bergsonie oraz o filozofii w ogólności.

Poznając mnie i wiedząc, że piszę, Camus uświadomił sobie, że można „pisać”. Dotychczas znał w zasadzie jedynie ludzi wykształconych i inteligentnych, którzy chowali swoje myśli dla samych siebie, a jeżeli cokolwiek publikowali, to zajmowali się sprawami

ogólnymi lub historycznymi. Niewątpliwie, aby mówić o sobie samym, trzeba wykazać się niezwykłą śmiałością. Zrozumiawszy to po raz pierwszy, nie mogłem samemu sobie przeszkodzić w tej czynności. Tak się stało, że mój przypadek stał się przykładem.

Czy byłem wzorem? Rozumiem przez to wzór literacki. To nie ja powinienem o tym rozstrzygać. Jeżeli chodzi o początki, tak, to możliwe. Ale przecież nawet przed „Obcym” pojawiły się różnice, a styl Camusa stał się głęboko osobisty.

Czy byłem inspiratorem? Tak, chociaż w bardzo pośredni sposób. Przykładowo posłużyłem się wyobraźnią celtycką, która pełna jest symboliki ruchu, aby wygłosić - na prawach kontrastu posługując się symbolem Oceanu – pochwałę Morza Śródziemnego. Według Alberta Camusa te strony miały posłużyć mu jako katalizatory. Uznając, że jest to prawdopodobne, należy jednocześnie stwierdzić granice takiego oddziaływania. Ileż to pomysłów spoczywa w naszym umyśle w oczekiwaniu na korzystny splot okoliczności, aby się narodzić! Tak, chodzi tylko o dobrą okazję.

Również jeżeli chodzi o to, ile filozofia Alberta Camusa zawdzięcza mojej, nie ma łatwej odpowiedzi. Są ogólne tematy, które charakteryzują każdą epokę: po I wojnie światowej romantyczny zryw ponowił wieczne tematy samotności, śmierci, rozpacz. „Les Iles” (Wyspy, czytaj Samotnie) tylko powtarzały motyw bezludnej wyspy, charakterystyczny podług Pascala dla kondycji człowieka: „Widząc zaślepienie i nędzę istoty ludzkiej..., wpadam w przerażenie podobnie jak człowiek, którego śpiącego zaniecono by na bezludną i straszliwą wyspę, a który po obudzeniu nie wiedziałby, gdzie jest ani jak stąd się wydostać.”

W oczach Alberta Camusa taka wizja świata byłaby zbyt rozpaczliwa i niedopuszczalna, ponieważ nie pozostawiała żadnych szans człowiekowi. Owszem: nie wykluczała ona schronienia w religii i w społeczeństwie, w wierze i nadziei, ale w ten sposób odwoływała się – nie eksponując tego – do zgody na prawdy przynoszące pocieszenie, należące do domeny życia osobistego, niedostępnego dla tych, którzy nie mają do niego klucza, kiedy w świetle dnia rozgrywa się dramat ludzkiej egzystencji. Gdyby było jakiegś wyjście (słowo w tym przypadku odpowiednie), byłoby nim zachwycenie spowodowane momentalnym spotkaniem z czymś niemożliwym do nazwania, co musiało być zarazem Naturą i czymś więcej niż Naturą. Posługując się metodą bliższą Montaigne’a czy Romantyków niżli Pascala czy Dostojewskiego, można by przejść od trwogi do wyzwolenia, zanim to, co „ludzkie”, zostałoby wzięte pod uwagę. Rozumiem przez „ludzkie” to, co a priori nie jest ani metafizyczne, ani nadprzyrodzone. Moje wyjście prowadzi w kierunku tego, co nie jest ludzkie.

To właśnie podkreślił pewnego dnia Albert Camus w rozmowie ze mną w radiu: „Jean Grenier nie jest humanistą”. Miało to znaczyć: ” On wątpi w człowieka i szuka zbawienia gdzie indziej”. Camus, przeciwnie, wolał badać „pole możliwości”, a jego twórczość była rozdierająca z powodu jej humanistycznego aspektu. Czyż jej początek – z powodu głodu absolutu – nie był wstrząsający? Nie było żadnej opozycji pomiędzy jego pierwszym czystym buntem a wezwaniem do nadziei (tytuł serii książek, którą redagował). W rezultacie poszedł swoją drogą, która zaprowadziła go od nie do tak, z czego zresztą się wytłumaczył.

Humanista? Uważałem go za takiego z powodu przywiązania – dotyczyło to również mnie samego – do literatury klasycznej, do starożytnych języków, do kultury, do jakiej może tęsknić istota obca współczesnemu światu z jego współczesną nauką i techniką. Ale ja pozostałem przywiązany w inny sposób do „starodawnego świata”. Miałem uczucie, wynikające z mej istoty, że jestem „gdzie indziej” bardziej niż „tutaj”, że - rzadko ale jednak - przebywam w beczasowości pomimo istnienia w „teraźniejszości”.

Słowo humanizm zawiera w sobie dwa znaczenia, które powodują, iż dwa umysły mogą być zarazem bliskie i odległe sobie. Bliskie w tym sensie, że kochają wszystko, co jest ziemskie i co tworzy podglebie, w którym rozwija się to, co ludzkie. Odległe w tym, iż jeden z nich nie zadowala się taką właśnie naturą ludzką, a drugi chętnie na tejże poprzestaje.

Ten, który nie godzi się, robi to może ze słabości. Odsuwa podawany kielich nie dlatego, iż nie ma łaknienia, ale dlatego, że nie znosi wina. Nie wolno uważać, że ideał zawsze wynika z przekroczenia realności. W beczasowości, wertykalności, wieczności itd. można szukać tylko alibi. Alberta Camusa taka postawa mierziła. W „Dżumie” mówi on z pogardą o takiej istocie (chodzi o Boga), którego wierni nie potrafią sobie nawet wyobrazić. Albert Camus był konsekwentny.

Miał więc prawo uważać się za humanistę. Widział tylko człowieka i mówił tylko o nim. Jego horyzont, tak ograniczony w czasie i tak bogaty w niezaspokojone pragnienia oraz nieuleczalne miłości, zamykał się w ludzkiej egzystencji. Jeśli heroizm i świętość miały dla niego wielkie znaczenie, to chodziło mu o ludzi, którzy nie szukali w nich żadnego poklasku. Możliwości istnienia tamtego świata czy życia pozagrobowego nie odrzucał. Jak nazwać niepoznawalne? Jego zdaniem wystarczyło, że było ono niewyobrażalne, aby odepchnąć samą pokusę myślenia.

Taka postawa nie wyklucza pojęcia wielkości, tajemnicy, nic takiego. Miłość życia, miłość do życia tu i teraz, które jest tak bolesne i ulotne, była natchnieniem dla takich ludzi, jak np. Eurypides. Odmienna postawa, którą obiera człowiek zwrócony w stronę zaświatów, również nie jest nie do pogodzenia z humanizmem, jak dowiedli tego mieszkańcy Aleksandrii, orficy, uczestnicy misterii. Nie jest też ona ani zawsze, ani koniecznie oznaką słabości. Kto określi granicę w człowieku pomiędzy tym, co jest mu ofiarowane a tym, co jest mu odmówione?

Jednak Albert Camus za bardzo obawiał się oszustwa, i dlatego z wielką ostrożnością wyprawiał się na nieznaną i zaledwie rozpoznaną ziemię.

Jak to już ktoś trzy stulecia temu powiedział: nie uznaje się niczego za prawdę, co nie jest nią w sposób oczywisty. Z tego też powodu Camus wystrzegał się pojęcia „egzystencjalny”. Kiedy poprosiłem go o współpracę przy zbiorowej publikacji zatytułowanej „Egzystencja”, nie omieszkiał podkreślić swojego dystansu wobec egzystencjalizmu. Kiedy dowiedział się, że chodzi jedynie o analizy egzystencji, zaakceptował propozycję i przekazał początek „Człowieka zbuntowanego”.

*

Można zrozumieć, że kiedy Camus czytał stronicę składającą się na „Wyspy”, mógł przejąć się emanującą z nich pesymistyczną wizją człowieczej doli. Zawarte tam było ponadto przesłanie optymistyczne: odwołanie się do tego, co następnie nazwane zostało „wyjątkową chwilą” (l’*instant privilégie*). W jego oczach ten pozytywny aspekt wydał się jeszcze bardziej pesymistyczny niż negatywny. Bardzo chętnie - powtarzał - powiedziałby tak światłu dnia, ale pod warunkiem, że to tak byłoby raz na zawsze. To już mnie nie dotyczyło, gdyż moje tak było zaledwie Sezamem ucieczki i to ucieczki problematycznej.

*

Kiedy myślę o nim, powracając do jego listów, nad słuchując echa jego słów, które utkwiły w mojej pamięci, jeszcze wyraźniej, wręcz fizycznie, czuję kontrast pomiędzy pewnością siebie, jaką prezentował Camus publicznie, pomiędzy chłodem, jaki czasami emanował z jego osoby lub po prostu nieskrępowaną miną a drażącym go nieustannie i właściwym mu wewnętrznym niepokojem. Tuż przed wojną napisał do mnie, że odwrotnie do tego, co ja o nim sądzę, nie jest prawdziwym filozofem, ponieważ kusi go najbardziej paradoksalna strona idei, ich łatwe i wyzywające strony, co nie jest znakiem uczciwości

intelektualnej. Troska ta dowodzi dobrze, iż nie był w tej materii dyletantem. Wyraziłem mu swój komplement pod adresem jego gry scenicznej. Odpowiedział mi, że rzeczywiście chciał być aktorem, ale uważał, że w jego kraju nie było to możliwe, że nie miał wyjścia. Krótko mówiąc, nie był tym, na jakiego wyglądał lub na jakiego chciał wyglądać, czyli nie był „człowiekiem szczęśliwym”, ponieważ znał rolę przypadku w szczęściu; nie był „człowiekiem dumnym”, ponieważ wiedział, co zawdzięcza innym; nie był „człowiekiem pewnym siebie”, gdyż bezustannie pytał, co może być fundamentem myśli. Trzymał się tego, jak wieśniak swoich plonów, które zawdzięcza uprawianej ziemi, a która nic by mu nie dała bez jego pracy: zapracował na to, a nie wygrał na loterii.

Byłoby niestosownym mówienie o przypadkach i kryzysach, jakie cechowały życie Alberta Camusa, które powodowały, iż widziałem go o wiele lepiej. Są to sprawy dotyczące biografii intymnej. Naturalną rzeczą jest natomiast z mojej strony zasygnalizowanie mojej wdzięczności za zadedykowanie mi przez Camusa najpierw „L'Envers et l'endroit” (Dwóch stron tego samego) oraz wiele później „L'homme revolté” (Człowieka zbuntowanego), jak i nieustannego zainteresowania, które okazywał publikowanym przeze mnie książkom. Ale mówić o tym byłoby rzeczą nieskromną. Jeśli o mnie chodzi, to zawsze uważałem jego pochwały – dotyczące książek o nierównej wartości – za przesadne. Nie zawsze one zmierzały, a nawet były od tego daleko, w kierunku przez niego obranym. Na przykład mojej apologii taoizmu, doktryny niedziałania - którą uważał za pomysłową prezentację paradoksalnej i nieużytecznej myśli, odwracającej się plecami do życia - uczciwie nie poświęcił dobrego słowa, jak to czynił w innych przypadkach. Oto tytuły trzech moich utworów, które miały, jak sądzę, dla niego znaczenie, a być może na niego wpłynęły: „Les Iles”, „Inspirations méditerranéennes”, „L'Esprit d'orthodoxie”. W pierwszym mógł zapoznać się z doznaniem pustki po Bogu, w drugim – z magią słońca, w trzecim – z miłością prawdy. W jego książkach odnaleźć można ślady lektur powyższych dzieł albo raczej - refleksje polekturowe.

Mimo wszystko czułem się skrepowany podziwem, z jakim się o mnie wyrażał. Również wówczas, kiedy przeczytałem jego przedmowę do nowego wydania „Wysp”, byłem bardzo skonfundowany. Uważałem, że dosyć było, iż każdą swoją książkę dawał mi do czytania przed publikacją i liczył się z moimi uwagami (które najczęściej ograniczały się do drobnych spostrzeżeń). Podobne odniosłem wrażenie, gdy Camus - zapowiadając kupno domu w Lourmarin, gdzie bywałem od 1925 roku i uczestniczyłem w życiu tej wioski - powiedział do mnie: „Chodzić będę pańskimi śladami”. (Ale to René Char, którego ogromnie podziwiał i uważał za swojego przyjaciela, od wielu lat zachwalał mu tę okolicę). W końcu postanowił zabrać się za przedmowę. Dałem mu znać, że jeżeli napisze ją, będę szczęśliwy. Było to w październiku 1958. Opóźniałem się z publikacją, mając nadzieję, że zmieni przedmowę na mniej pochlebnią. Dwudziestego ósmego grudnia 1959 napisał do mnie: „Miałem nadzieję otrzymać nowe wydanie <Wysp>. Czy przelożono termin publikacji?” Nie miałem czasu, aby mu odpowiedzieć i zadowolilem się wysłaniem telegramu z życzeniami noworocznymi. Nie widział więc w druku tej przedmowy, którą zostawił mi jako dar pośmiertny.

Może jest to nadużycie z mojej strony, mówić o sobie przy Camusie, ale kto zawinił? To on bez przerwy powtarzał, jak długo ode mnie się uczył i jak wiele mi zawdzięcza. Niestety, z tego, co zrozumiałem z jego informacji i zapewnień, uważam, że był w błędzie. Próbowałem ustalić fakty zgodnie z prawdą, jeżeli w ogóle można to uczynić, zważając, iż wpływ, jaki wywiera ktoś na osobę młodszą (często nieświadomie), jest rzeczą trudną do sklasyfikowania i uchwycenia. Camus był o co najmniej piętnaście lat młodszy ode mnie, kiedy go poznałem (miał siedemnaście lat), co nie było wtedy bez znaczenia.

Stopniowo zorientowałem się, iż jego hołd podlegał przemianie. Z emocjonalnego wyrazu wdzięczności przekształcał się, wbrew niemu samemu, w coś rodzaju tablicy

pamiętkowej na wieczność wygrawerowanej w skale. Przechodnie mieli więc odczytywać tylko taką inskrypcję, która wiązała mnie jako „mistrza” z jego nazwiskiem, a wszystkie różnice i przeoczenia uznane zostały za na tyle oczywiste, że nieważne podkreślenia.

Niewątpliwie w ten sposób zapisuje się historię, ale gdyby była ona prawdomówna, to zaliczyłyby do spraw istotnych to, co książki uznają za powierzchowne, błahe, powszednie: to wszystko, co zostało powiedziane i przede wszystkim to, czego nie można było powiedzieć: spotyka nas to w każdej chwili z tymi, których kochamy.

II

Dlaczego i jak Albert Camus wstąpił do partii komunistycznej? Takie pytanie jest zadawane i stawiane przez wielu ludzi, chociaż twórczość pisarza nie została w sposób bezpośredni dotknięta tym, krótkim zresztą, członkostwem.

*

W epoce Frontu Ludowego wielkie wzburzenie panowało w Algierze i to nie tyle w społeczności arabskiej, jak można byłoby sądzić, lecz u Europejczyków, przyjaciół Arabów. Ci pierwsi chętnie demonstrowali, ale nie zawsze pojmowali sens swoich manifestacji. Analfabeci, którym kazano krzyżeć „Les Soviets partout”, wołali „Des souliers pour tous!”. Brzmiało to podobnie i było dla nich bardziej zrozumiałe. Założono Dom Kultury; jego sekretarzem generalnym został Albert Camus, inicjujący wiele spotkań, na których zajmował się propagowaniem potrzeby rozwoju kultury śródziemnomorskiej. Nie miała być ona mistyką łaćńską, tak jak głosiła propaganda faszystowska, lecz wiązała się z Hiszpanią, krajem podtrzymującym stałą więź między Europą a Afryką Północną oraz - świadkiem ich wspólnego pochodzenia – Orientem. Powstał Union franco – musulmane (Związek francusko-muzułmański), opublikowano broszury na temat udziału algierskich muzułmanów we francuskim parlamencie, założono grupę „Esprit”, gdzie miałem okazję zabrać głos. Union fédérale des étudiants (Federalny Związek Studentów) powstał z tymi samymi hasłami wyzwolenia autochtonów oraz postępu społecznego. Odbływały się pokazy filmowe, nie tylko w Algierze, ale także w licznych miastach departamentu dzięki oddziałowi Domu Kultury o nazwie Ciné – travail (Kino – praca). Pamiętam jeszcze kilka filmów: „L’Idée” Fransa Masereela, „Espagne 1936” (o wojnie domowej), „Les Amies” (film sowiecki o latach 1914 – 1917), „La Prise de Sietamo” (zdobycie miasta przez hiszpańską milicję republikańską) itd.

W międzyczasie książka Gide’a „Retour de l’U.R.S.S.” spowodowała dużo emocji. Groupe des Amis de „Commune” (Grupa Przyjaciół „Komuny”) – pisma intelektualistów komunistycznych, które miało licznych czytelników nie tylko w Paryżu, gdzie wychodziło – w listopadzie 1936 r. zorganizowała dyskusję. Można o niej powiedzieć jedynie tyle, że potoczyła się stosownie do zajmowanych powszechnie w nadchodzącym czasie stanowisk. Generalnie publiczność opowiadała się za Stalinem, który ich zdaniem nie mógł być dyktatorem podobnym do Hitlera czy Mussoliniego, ponieważ – w odróżnieniu od tamtych - wyrażał myśli wszystkich Rosjan: „Gide nie znał wystarczająco dobrze problemów politycznych i ekonomicznych, opisywał je pobieżnie, w każdym razie nawet jeśli miał rację, to jego książka była niefortunna, bo jak można utrzymywać, że w Związku Sowieckim tłamsi się kulturę, kiedy jest tam biblioteka licząca dziewięć milionów woluminów i gdzie wypożyczą wam każdą książkę, o jaką poprosicie?”.

Nie chcę dłużej zatrzymywać się przy tym widowisku, w którym nie uczestniczył Albert Camus. Jeżeli o nim mówię to dlatego, iż świadczy ono o wielkiej nadziei, którą sporo ludzi widziało w zmianie reżimu, zresztą zachowując pełną lojalność.

Jeszcze bardziej charakterystyczne było przedstawienie przygotowane przez Alberta Camusa i jego towarzyszy w Théâtre du Travail (Teatr Pracy), który stał się Théâtre de l’Equipe dopiero po odejściu od aktywnego uczestnictwa w polityce. Znów widzę tę drewnianą salę zwaną Bains Padovani w Bab-el-Oued, z wyglądu bardzo ubogą, zbudowaną na palach nad brzegiem morza. Plażowicze, którzy rozbierali się i ubierali w kabinach

usytuowanych poniżej, zachodzili do niej, aby napić się anyżówki lub potańczyć w niedzielę. To właśnie tutaj odbyło się przedstawienie „Temps du mépris” (Czasów pogardy), powieści Malraux zaadaptowanej na sztukę teatralną, granej dzięki życzliwemu, przesłanemu telegraficznie, zezwoleniu jej autora. Oczywiście to było tylko przedstawienie amatorów, zrobione z niczego: Louis Miquel przygotował prostą scenografię, mundury SS, współczesne ubrania; publiczność odegrała rolę uczestników zgromadzenia. Sztuka grana była z zaangażowaniem, tak jak byłaby grana następna, której miano dać tytuł „Révolte dans les Asturies” (Bunt w Asturii), lecz nie doszło do jej wystawienia, ponieważ zespół nie dostał pozwolenia na wynajęcie sali.

Albert Camus był animatorem tych wszystkich wydarzeń. Myślałem, iż dzięki swym zdolnościom odegra dużą rolę w polityce. Miał ambicję odpowiednią do swojego wieku, która u niego jeszcze bardziej była uzasadniona. W którą stronę skieruje swoje możliwości? Na pewno tam, gdzie jego entuzjazm znajdzie ujście w realizacji ideałów. (Zdziwiony byłem, że ta quasi - rewolucja jest w ogóle potrzebna, aby uzyskać płatne urlopy, zmniejszenie tygodnia pracy i inne reformy). Partia komunistyczna była awangardą Frontu Ludowego i przyciągała swoją dyscypliną oraz ekspansywnością. Camus mógł zapewnić sobie prawdziwą karierę godną imienia Juliena Sorela. Z drugiej strony partia ludowa potrzebowała, jak to się mówi dzisiaj, „kadr” oraz, jak już powiadano, „odpowiedzialnych osób”, aby nie posłużyć się określeniem bardziej precyzyjnym, które popadło w niełaskę (używane było przez ohydne reżimy) – „szefów”.

Poradziłem więc Albertowi Camusowi zapisać się do Partii.

Czy Camus mógłby mieć jakieś poważne zastrzeżenia co do takiego wyboru? Nie uważałem tak. Wybierając wiarę, nie miał szacunku dla wiary. Dzieje idei nie popychały go w stronę takiej lub innej doktryny, chociaż jeden jego list do mnie świadczy, że spotkanie hellenizmu i chrześcijaństwa stało się dla niego powodem do refleksji. (Świadczy o tym temat pracy dyplomowej oraz artykuł o Bergsonie w jednym z numerów pisma „Sud”, gdzie publikowałem eseje moich uczniów). Zachowując swój punkt widzenia, Camus poszukiwał raczej prawdy elementarnej, z której mógłby czerpać metodę życia i myślenia. W tym momencie odczuwał bardzo silnie swoją upokarzającą sytuację, ograniczoną do ofiarowywanych stypendiów, drobnych zajęć, które zaledwie uśmierzały chroniczny niedostatek. Czuł solidarność i przepełniało go uczucie silnego braterstwa ze środowiskiem nieznanymi prostych ludzi, co dobrze ilustruje opowiadanie „Les Muets” (Niemi). Raniła go nierówność pomiędzy Europejczykami a autochtonami. Krótko mówiąc, gotów był podjąć się kariery, której zalety i wady nie stanęłyby na przeszkodzie jego przekonaniom – nawet więcej, gdzie mógłby ukazać swoją miarę i ponieść ryzyko, bez którego życie nie miałoby dla niego sensu. Wszystko więc sprzyjało legitymizacji takiego wyboru. Oto co bardzo szczerze rozważałem tego wieczoru, kiedy szliśmy razem przez Parc d’Hydra, gdzie mieszkałem przy Colonne Voirol. Camus miał tam wsiąść do tramwaju, który odwiózłby go do miasta.

Myliłem się. Nie domyślałem się, że polityka partii komunistycznej w Algierii będzie tak nieugięta, że dojdzie do potępienia z powodów taktycznych PPA (Parti Populaire Algérien - Partia Ludu Algierii), wówczas jedynej partii opozycyjnej oraz do rezygnacji z poparcia jej przywódcy. Wszystko wskazuje na to, że prawdopodobnie zerwanie było niespodziane i wynikło w konkretnym momencie, kiedy trzeba było wybierać pomiędzy środkami a celem. Albert Camus nie mógł tego uniknąć.

Czyżbym nie docenił tego, któremu udzieliłem takiej rady? Owszem. Usiłując postawić się na jego miejscu, nie uczyniłem tego w pełni. Nie przewidziałem ponadto dalszego ciągu wydarzeń.

Przede wszystkim byłem zadowolony widząc Alberta Camusa zaangażowanego po stronie politycznej, którą mu doradziłem. Byłem szczęśliwy widząc go następnie, jak podążał inną drogą, która, niezależna od kogokolwiek, miała być jego drogą. Wszystko działo się tak,

jakby chodziło o próbę (jednak to nie było to), i to próbę, z której Camus miał wyjść w rezultacie wzmocniony.

Oto list datowany na 21 kwietnia, pisany w Tipasie, gdzie Albert Camus odnalazł (wspomina o tym w post-scriptum) utracony wewnętrzny spokój. List ten wydaje mi się teraz jeszcze bardziej wzruszający niżli wówczas, kiedy był pisany: „Miał pan rację, radząc mi zapisać się do partii komunistycznej. Zrobię to po moim powrocie z Balearów. Wyznam panu, że wszystko przyciąga mnie do nich i zdecydowany jestem na to doświadczenie. Wydaje mi się, iż będzie lepiej, jeśli zastrzeżenia, jakie stawiam komunizmowi, sprawdzę w życiu. Przyjrę się lepiej planom i zobaczę, jaką wartość należy przyznać niektórym argumentom. Dużo o tym myślę i teraz wydaje mi się, że skrajności komunizmu opierają się na pewnej liczbie nieporozumień, które mogą być bez żadnej szkody odrzucone. Poza tym komunizm różni się niekiedy od komunistów. To, co mnie tak długo powstrzymywało, co, jak sądzę, powstrzymuje tak wiele umysłów, to nieobecność w komunizmie pierwiastka religijnego. Chodzi o pretensję, jaką znaleźć można u marksistów, do budowania moralności, w której człowiek sam sobie wystarcza. To za bardzo przypomina „laicki i obowiązkowy” humanizm à la Edouard Herriot. Ale być może komunizm można pojmować jako przygotowanie, jako ascezę przygotowującą teren pod czynności bardziej duchowe. W sumie jest to wola uniknięcia pseudoidealistów, optymistów na zawołanie, która ma na celu ustanowienie takiego stanu rzeczy, gdzie człowiek mógłby odnaleźć sens swojej wieczności. Nie mówię, że jest to ortodoksja. Precyzyjnie mówiąc, w postępowaniu (lojalnym), którego się podejmuję, nigdy nie zgodzę się na umieszczenie pomiędzy życiem a człowiekiem tomu „Kapitału”. Każda doktryna może i musi ewoluować. To wystarczy, abym się szczerze podpisał pod ideami, które odsyłają mnie do moich początków, do moich towarzyszy z dzieciństwa, do tego wszystkiego, co uformowało moją wrażliwość.

Jest jeszcze wiele innych punktów, które wydają mi się godne refleksji (fałszywy racjonalizm związany z iluzją postępu, walka klas i materializm historyczny wyjaśniane za pomocą celowości, której wynikiem byłoby szczęście i triumf wyłącznie klasy robotniczej).

Wydaje mi się, że częściej samo życie, a nie idee, kieruje ludzi do komunizmu. Proszę mi powiedzieć, co pan o tym sądzi. Poznał pan moje obawy i nadzieje. Bardzo bym chciał ujrzeć, jak zmniejsza się suma nieszczęścia i goryczy, zatruwająca życie ludzi!”

*

Wstąpienie Alberta Camusa do partii nie było więc bezwarunkowe. Nie było także ślepe. Polegało na tym, aby działać w konkretnym kierunku, zachowując w całości prawo do niezależnego myślenia. Nie chciał pozostać obojętnym na bieg wydarzeń, o czym stale mówił po opuszczeniu partii. Można „przedsięwziąć jakieś działanie na rzecz komunizmu, pozostając w stosunku do niego pesymistycznie usposobionym”.

W związku z czym dołączył do opinii wyrażonych przez André Gide’a w „Retour de l’U.R.S.S.” oraz do moich, wyrażonych w książce „Essai sur l’esprit d’orthodoxie”, o której i znacznie później powiadał, iż jest stale aktualna. W żadnym momencie nie był zwolennikiem postawy zaniechania.

Podczas powstania węgierskiego przeciwko interwencji ZSRR Camus przypominał fakt, iż taki a taki pisarz, będący jego przeciwnikiem, nie powiedział: „Pomyliłem się”, co powinien był uczynić. Uważał go jednak za całkowicie szczerego i zastanawiał się, jak można podejrzewać jego dobrą wiarę.

Zarzut, jaki mógł postawić Albert Camus tym, którzy stali się jego przeciwnikami w tym momencie, można podsumować w następujący sposób: ulegli oni fascynacji władzy partii, która po pierwsze symbolizuje historię w ruchu, po drugie składa się z masy robotników. Pierwszy punkt odnosi się do filozofii historii: nie można zakwestionować

Hegla! ” Wynika z tego, że nikt nie odpowiada za pomocą moich argumentów” – stwierdzał Camus.

Przede wszystkim jego zdaniem obawiali się oni odcięcia od mas robotniczych, które reprezentowała partia komunistyczna. Zresztą procent robotników zapisanych do partii w tym czasie nie był tak wysoki, jak myślano.

Oczywiście Albert Camus nie był przeciwny prowadzeniu dyskusji z partią komunistyczną. Na moją prośbę wstąpił do stowarzyszenia, do którego należałem. Celem stowarzyszenia było łączyć pisarzy i artystów europejskich wokół problemów, które mogłyby doprowadzić do odprężenia. Rezygnując następnie z członkostwa, powiedział – co uznałem za słuszne – że lepiej jest nie należeć do grupy, w której pracach nie można osobiście uczestniczyć. Rzeczywiście, dyrektor komitetu mógł uznać, iż ma upoważnienie do napisania takiego czy innego manifestu, czy podjąć się takiej a nie innej inicjatywy, nie konsultując się wcześniej ze wszystkimi członkami stowarzyszenia.

Według niego było to niemożliwe i niedopuszczalne. Poproszono go o zainicjowanie dialogu z przedstawicielami przeciwnego obozu, pomimo istnienia różnic pomiędzy dwoma systemami politycznymi. Jedni i drudzy mieliby przede wszystkim przedstawić to, co wypadało uznać, np. niektóre realizacje społeczne w ZSRR oraz to, co należało potępić – przykładowo reżim policyjny, likwidujący kulturę poprzez brak wolności. Nie tylko można było to powiedzieć, ale wręcz należało. Jak sam napisał: „Doskonała jasność, określenie granic, gdzie może dojść do spotkania i gdzie do niego nie może dojść, wydają mi się warunkami nie tylko wystarczającymi, ale wręcz absolutnie koniecznymi do zrozumienia i uzgodnienia postaw”.

Generalnie Albert Camus nie żywił zbyt wielkiego szacunku dla niektórych literatów. W jego oczach zachowywali się jak kobiety, ich reakcje wpływały ze słabości zafascynowanej siłą. A propos Budapesztu opowiadał historię małej dziewczynki (Anouilh posłużył się tym zdarzeniem w komentarzu do jednej ze swoich sztuk), która – gdy ją pytano, do jakiej partii kiedyś się zapisze –mówiła: „Do najbardziej okrutnej”. A na pytanie dlaczego, odpowiadała: „Dlatego, że jeśli ona wygra, to będę bezpieczna, a jeśli przegra, to i tak niczego nie ryzykuję”.

Taka, zresztą nie idąc aż tak daleko, ekstremalnie oportunistyczna postawa nie miała prawie żadnego wpływu na Alberta Camusa, który uznał za niedopuszczalną opinię - wyrażoną przez pewnego, zresztą niezwykle uczciwego, znajomego - na temat „Człowieka zbuntowanego”: „Niestety! Pańska książka jest piękna, ale sukces odnosi na prawicy!”

*

Kluczowym problemem dla Alberta Camusa była Hiszpania. Nie pomijał żadnej okazji, aby zaprotestować piórem czy słowem przeciwko reżimowi Franco. Nie chciał tam jechać, dopóki w Hiszpanii trwał reżim.

*

To wszystko jest znane. Mniej znana jest liczba jego interwencji w celu uzyskania łaski dla więźniów politycznych, osobistych interwencji u ważnych osobistości zagranicznych, a nawet francuskich. Książka, którą opracował wraz z Koestlerem w sprawie zniesienia kary śmierci, jest znana. Wstręt, którego doznał jego ojciec na widok wymierzania kary głównej w Algierze (fakt ten znał dzięki matce), nie był mu osobiście obcy i teraz. Wkomponował się on w postawę bardziej ogólną: „Jeśli Natura (lub Bóg) skazuje człowieka na śmierć, niech przynajmniej człowiek tego nie robi!”

Na ten temat Albert Camus zebrał dokumentację - jego troska o dokładną i bogatą informację, przed zajęciem stanowiska była jedną z jego uderzających cech. Pewnego razu spotkał P.Z., który optował za utrzymaniem kary śmierci, posługując się licznymi przykładami ze Starego Testamentu. „A Ewangelia?” - zapytał go. „Cały czas żyjemy w czasach Starego Testamentu” - odparł tamten. (Oczywiście była to prywatna opinia jego rozmówcy).

*

Osoba, która zamierza przesiewać rozkazy Państwa lub Partii, zachowując jedne, odrzucając drugie w imię sprawiedliwości czy wolności, ryzykuje, że zostanie uznana za reakcjonistę lub konserwatystę.

Pada wówczas pytanie: chcesz czy nie chcesz rewolucji? Jeśli tak, to wyrażasz zgodę na to, że nie musi się ona liczyć z żadnymi zasadami, ze sprawiedliwością i wolnością. Jeśli nie, to jesteś ostatnim z burżujów, najgorszym konformistą.

Oskarżyciel przywdziewa wówczas szaty ekstremisty, który uważa się za wcielenie cnoty siły i oskarża innych o umiarkowanie, jeżeli nie o mierność.

Nie w tym rzecz, aby w tym miejscu powrócić do polemiki odnoszącej się bardziej do filozofii historii niżli do sądów prywatnych, w której zresztą wszyscy mieli, mniejszą lub większą, możliwość zajęcia stanowiska.

Filozofia polityczna Alberta Camusa miała dwojaki charakter: była zrównoważona i zaangażowana, zarazem daleka i bliska wydarzeniom. Jego obojętność wyrażała się raczej w rozmowach i w listach niż w publicznych wystąpieniach, deklaracjach czy artykułach. W tym przypadku różnił się od tylu ludzi, którzy prywatnie głoszą gwałtowne sądy, a publicznie milczą lub wypowiadają się w sposób uładowy. Inaczej mówiąc, wykazywał się odwagą, kiedy trzeba było, nie zapominając ponadto o znaczeniu alternatyw i niuansów.

I tak kiedy w 1949 r. młody Amerykanin o nazwisku Gary Davis wzbudził sensację, ogłaszając się „obywatelem świata”, nie podporządkowując się rozkazowi mobilizacji, Camus wyraził swoją aprobatę. On jest autentyczny, ocenił Camus, który czytał wtedy ponownie „Don Kichota” i w osobie Davies’a odnajdował „charakter prostego Sancho i szaleństwo jego pana”. W końcu wyczerpany był atakami jednych, którzy oskarżali go o współpracę z Ameryką, jak i drugich, którzy oskarżali go o to samo z ZSRR. Pragnął wprowadzić nieco moralności do dżungli narodów, a głosząc sprawiedliwość i pokój, sam musiał nieco popracować nad sobą, ponieważ jego temperament „afrykański” bliższy był raczej stanom ekstremalnym. Sam musiał zapanować nad sobą, kiedy mówił o zgodzie, proponując rozejm dla ludności cywilnej w Algierii. Z jednej strony widział Europę zagrożoną przez miliony głodnych i niemających nic do stracenia ludzi. Z drugiej strony – sami sceptycy i bogacze. Jakie miejsce przynależy artyście oddanemu swojemu dziełu, potrzebującemu podpory, a jakie temu, kto jeszcze bardziej potrzebuje żyć w atmosferze sprawiedliwości? Trzeba kochać sprawiedliwość i piękno - w tym przypadku jest się jednak samemu!

III

Czy artysta może być w tym samym czasie artystą i krytykiem? Czy można tworzyć i zarazem oceniać swoją twórczość? Nie, nie w tym samym czasie. Albert Camus mówił: „Artysta nie zna się na tym, co robi...” I opowiadał się za koniecznością przygaszenia światła podczas pracy twórczej.

Jeśli się założy, że dzieło ma swoje przed i po, to w trakcie jego powstawania ginie to, co jest nieodpowiednie. Albert Camus w równym stopniu obdarzony był jasnością myśli, jak i oddany swojej pracy. Poniżej przedstawiam kilka jego spostrzeżeń i uwag, które wypowiedział na temat niektórych swoich utworów.

Jeżeli chodzi o „Obcego”, to Camus miał świadomość, iż sam proces mógł kojarzyć się z „Procesem” Kafki. Mimo tego nie wyrzekł się swojego pomysłu, ponieważ znał głośne procesy sądowe i nie podjął decyzji w sposób arbitralny... Poza tym same postacie oraz wątki powieściowe były zbyt zindywidualizowane, zbyt zanurzone w codzienności, aby pojawiło się ryzyko podobieństwa do czysto symbolicznych odpowiedników u Kafki.

Teatr natchnął Alberta Camusa wieloma pomysłami i teoriami w najlepszym sensie tego słowa, ponieważ wywodzącymi się z praktyki. Jego zdaniem teatr potrzebował dynamiki wydarzeń, a nie – nieładu. To dlatego, jak twierdził, swojemu Kaliguli dał bardzo konwencjonalne powody do buntu.

Jego zdaniem utwór dramatyczny nie może być dziełem intelektualnym i przede wszystkim opierać się musi na wydarzeniu: działanie powinno wyprzedzać idee. Czyż Szekspir nie brał idei prawie zewsząd, z banalnej codzienności, z frazesów najbardziej oklepanych?

Pracując nad „Kaligulą”, Camus szukał prostych idei, uderzających sytuacji, nieustającej akcji. Taka koncepcja teatru była przeciwstawna właściwemu teatrowi idei, a więc (i) czemuś przesadnie sztucznemu, gdzie tezy nie zderzają się, a są błyskotliwie przedstawiane z rozmaitych punktów widzenia jak w grze, aby raczej publiczność oczarować niżli przekonać, a jeszcze mniej, aby ją czegoś nauczyć.

Kiedy w obecności Alberta Camusa (w ostatniej klasie przed maturą) cytowałem i chwaliłem „Żywoty cesarów” Swetoniusza, czyniłem to posługując się romantycznym oraz Gabriela d’Annunzia punktem widzenia. Słowa Kaliguli: Wszyscy są winni, którymi bez różnicy skazywał winnych i niewinnych, wzbudzały we mnie entuzjazm swoją nieczułą śmiałością. Barbarzyński Nietzsche – oto kim był dla mnie ten cesarz (a nie tylko chory człowiek lub szaleniec).

Dostrzegałem poza tym u niego ślad jakiejś tęsknoty za absolutem, przed którego obliczem wszystkie, najbardziej różnorodne rzeczy gubiły swoje różnice, upodabiając się do siebie. W tego typu egzaltacji panteistycznej nie przykłada się wagi do moralności.

Albert Camus do postaci Kaliguli, już przemienionego, dodał aspekt głęboko ludzki, co uczyniło z niego osobowość wieloznaczną. Kaligula jest jednocześnie potworny i czuły. Można powiedzieć, iż stał się potworem tylko dlatego, iż wcześniej był zbyt czuły – kiedy jego uczucie do utraconej kobiety okazało zbyt wielkie. Działał w rozpacz, a nie każdy potrafi rozpaczać.

Podobało mi się „Le Malentendu” (Nieporozumienie), pomimo iż dystansowałem się od tonu niektórych scen. Zresztą pomiędzy nami zawsze była różnica, dotycząca raczej uczuć i ekspresji niż światopoglądu. Rozpacz, spowodowana tęsknotą za słońcem i morzem,

dotykała mnie co najmniej w takim samym stopniu, co rozpacz wynikająca z utraty absolutu w „Kaliguli”.

Ale nie wolno ograniczać straty metafizycznej do straty fizycznej. Tematem sztuki jest przecież wygnanie w sensie pascalskim, co potwierdził sam autor. O „Nieporozumieniu” mówił, iż jest to historia o utraconym i nieodnalezionym raju – bardziej ludzkim od jakiegokolwiek wcześniej przez niego prezentowanego, ale wcale nie bardziej pozytywnego.

Camus założył, że napisze „współczesną tragedię”, nie zapożyczając od Greków ich legend. Podczas pracy napotkał podstawową trudność: jak zaznaczyć konieczny dystans i nie popaść przy tym w śmieszność? To była kwestia tonu. Wyrażenie zbyt wielkiej poufałości jak i przesadnej godności mogło w równym stopniu mijać się z celem. (Wiadomo zresztą, że po pierwszym przedstawieniu autor wprowadził zmiany w sztuce).

Te dwie sztuki zostały opublikowane razem. (W latach 1939 - 1943 tekst „Kaliguli” zmieniany był pod kątem głównego tematu). Zamiarem Camusa, skoro te dwa utwory sceniczne różniły się diametralnie od siebie, było osiągnąć równowagę tonu w jednym tomie.

*

„Mit Syzyfa” jest emanacją najgłębszych przekonań Alberta Camusa, który lubił je precyzować i oznaczać ich zarysy.

Chciał tak kierować swoim życiem, jak myślał, chciał żyć zgodnie ze swoimi uczuciami. Jednak prawie nie wierzył, że to jest możliwe – byłby to graniczny przypadek. Punkt, w którym Nietzsche odkrył szaleństwo.

W naszym absurdalnym świecie niektóre cnoty nie utraciły swojego znaczenia, na przykład honor, wierność, wyznawane przez samotników, ateistów, arystokratów. Prowadzą one jednak do wniosków nie do zaakceptowania, a prawda może być odrzucona przez tego, kto ją znalazł.

Nie można też liczyć na korzyści, wypływające z przyjęcia sytuacji gracza lub dyletanta. Konsekwencje, wynikające z przyjęcia wiary w świat całkowicie obcy wartościom humanistycznym, mogą być poważne i niegodne tego, który tak właśnie myśli. Lepiej odwrócić wzrok od tego demoralizującego widowiska i to nie dlatego, iż jest ono odpychające. Jak mówił Newman, można podziwiać rzeczy tego świata w tym samym czasie, kiedy z nich rezygnujemy. Taka też była osobista konkluzja Camusa.

Później (w 1945), kiedy powracał do tematu „absurdu”, bronił się przed myślą, iż jego esej zawierał wszystko; po prostu chciał wyciągnąć logiczne konsekwencje z „filozofii nieznaczenia”(philosophie de la non-signification). Zależało mu więc na doprowadzeniu do koherencji.

Niestety, wynikało z tego, iż żaden sąd wartościujący nie może być utrzymany, co wydawało mu się niemożliwe, bo wszystkie nasze czyny zawierają sądy wartościujące. Chociaż mówi się, że wszystko jest dozwolone, to przecież są działania, których się nie podejmuje, są słowa, którym nie sposób zaprzeczyć... I konkludował: „ Jest mit absurdu, ale nie ma filozofii absurdu”.

Jakie były wówczas jego horyzonty? Miał nadzieję, dzięki jakiejś pokorze i wytrwałości, których nie potrafił jeszcze określić, osiągnąć coś w rodzaju zgody na świat, jak to zdarza się w przyjaźni czy miłości. Uświadamiał sobie jednak dobrze, jakie byłyby trudności z osiągnięciem tego stanu rzeczy. Napisał: nie upada na duchu ten, kto pragnie! To nie był jeszcze ten moment. Trzeba było jeszcze poczekać, aby „ skorzystać z cienia i słońca...”

Czekając, zabrał się za pisanie „Człowieka zbuntowanego”, który sporo go kosztował, tym bardziej, iż podjął się go w trudnym czasie powojennym. Ja sam właśnie udałem się do

Egiptu, który cieszył się wtedy rajskim dobrobytem w porównaniu z nędzą panującą we Francji.

Camus radził mi, abym wystrzegając się fałszywej świadomości. Niech się cieszą ludzie szczęśliwi lub tacy, co chcą nimi być! Rozpoznać w tym można główną jego ideę, głębokie jego przeświadczenie. On sam podczas zimy 1945 był wyczerpany troskami materialnymi i marzył o czasie wolnym, którego nie mógł mieć. Nie można pracować będąc tak wykończonym, powiadał, dodając iż nie miał ani jednego dnia odpoczynku od trzech lat. Nic z tego nie pojawiło się w jego twórczości, chociaż można rzec, iż znalazło swoje miejsce w jednej z późniejszych nowel, w której człowiek jest bardziej samotny niż solidarny.

Przygotowywał swojego „Człowieka zbuntowanego”, w którym zamierzał ujawnić jako błąd i fałsz kult historii oraz woli mocy.

W sposób naturalny doprowadziło go to do krytyki heglizmu i nietzscheanizmu.

Co do Hegla nie miał skrupułów.

Z Nietzschem było inaczej. Camus zawdzięczał mu zbyt dużo, aby o nim mógł zapomnieć. Jednak pewien rodzaj nietzscheanizmu przedłużał linię Hegla. Camus uznawał, że żyjemy w historii: stąd do myślenia, że historia jest wszystkim, rozciąga się przepaść, ponieważ, jak mówił, żyjemy w historii, lecz umieramy poza historią. Przypomina mi to słowa Bossueta: „Umrzemy samotnie”. Tym powiedzeniem Camus powrócił do koncepcji helleńskiej oraz chrześcijańskiej.

Kończąc swoje dzieło pragnął wykazać – odnosząc się przy okazji do specjalnego numeru pisma „Le voyage en Grèce”, kierowanego przez Joannidès, a poświęconego człowiekowi śródziemnomorskiemu – iż jest to jedyny typ człowieka, jaki można jeszcze przeciwstawić człowiekowi rosyjskiemu i atlantyckiemu, między którymi zmusza się nas do wyboru.

*

Filozofia grecka zawsze była dla Alberta Camusa źródłem fascynacji. Pytając mnie, czy istnieje współczesna francuska edycja dzieł Epikura, stwierdził: „Im więcej wiem, tym bardziej jestem zadziwiony wielością spraw niezmiennie prawdziwych i nowych, które Grecy wyrazili”.

Sprawy „prawdziwe” - wielu i dzisiaj by się z tym zgodziło. Wielu też nie zgodziłoby się, że są one „nowe” chociażby dlatego, że przykładowo ich nabyta prawda ma odległą przeszłość, jak geometria Euklidesa, albo została wyrugowana przez jedną z tych prawd wydedukowanych z historii, jakie są modne od stulecia lub dwóch, według której „natura” jest zaledwie wiecznym „stawaniem się”.

Po swoim powrocie z Ameryki Camus powrócił do pisania „Dżumy”, chociaż miał wielkie kłopoty z jej ukończeniem. Nie był z niej zadowolony. Wątpił w nią i wątpił również w siebie samego. Sława, którą zdobył, nie uderzyła mu do głowy. Nie odrzucał jej oczywiście. Być nieznanym, kiedy się publikuje, to niezdrowe, mawiał. Najczęściej nie mylił się. Zawsze sukces przekraczał jego najśmielsze nadzieje i teraz go kępował. Być może ta powstająca, nowa książka zawiedzie czytelników, jak zawodzi jego samego? Można wyrazić zdziwienie, że w Camusie zrodziło się wątpienie w dzieło, które tak dobrze zostało przyjęte i nadal jest namiętnie czytane. Albert Camus podlegał jednak stanom niepewności, które niewątpliwie zadziwiłyby tych, którzy znali go tylko jako autora.

Wolałby poza tym nie być nękanym przez werbowników - kadrowych partii i Kościołów, poza którymi – jak powiadał – nie dadzą wam spokoju. Dążył do niezależności, której wszyscy mu odmawiali.

Pozostawał poważny problem wartości wiecznych. Że są te wartości, Camus nie wątpił. W „Dżumie” potwierdzał ich istnienie na poziomie ludzkim. Jednak uważał, że afirmacja wartości na jakimkolwiek poziomie wymusza afirmację wartości jako takiej. Chcąc pozostać szczerzy, wahał się, rozdzielany dylematem: jeżeli nie ma wartości wiecznych, to komunizm ma rację. Nie wolno kupczyć ceną, jaką płaci się za wybudowanie nowego społeczeństwa, w przeciwnym razie pozostaje Ewangelia. Synteza - chociaż pożądana – nie wydawała mu się możliwa. Jednakowoż nie zgadzał się ani na władztwo przemocy, ani niesprawiedliwości.

„Dżuma” zrobiła na mnie, jak na wszystkich uważniejszych czytelnikach, wrażenie, które na początku nie było duże, lecz w miarę lektury stawało się trwalsze i coraz bardziej głębokie. Pierwsza lektura niektórych stron – gdzie bohaterem jest Rieux – poruszyła mnie. Powiadomiłem autora o moim doznaniu. Problem „zła” dręczy wszystkich, którzy je sobie uświadomili, a ja uzyskałem taką świadomość bardzo wcześnie. Moja edukacja, mój charakter nakłaniały mnie do przyjęcia idei winy jako źródła zła, Camus natomiast był innego zdania.

Jednakże filozofia Alberta Camusa miała swoje niuanse, chociaż często wyrażana była w sposób kategoryczny. Następnie zaczęła dokonywać się powolna ewolucja jego poglądów.

Na zawsze zachował taką podstawową postawę, która nakierowywała go przeciwko karze wymierzanej przez ludzką „sprawiedliwość”. Pewnego dnia, po wyzwoleniu Francji, był obecny na jednym z wielu procesów zwanych „czystkami”. Oskarżony w jego oczach wyglądał na winnego, a mimo wszystko Camus opuścił salę sądową przed końcem, gdyż poczuł solidarność z tym człowiekiem, był „z nim” (jak to sam wyraził). Nigdy więcej nie chciał być na podobnym procesie. Ani katów, ani ofiar - jak pisał w „Combat”. Uważał, iż każdy winny nosi w sobie jakąś część niewinności.

Ostatecznie należałoby zachować te dwa przeciwstawne pojęcia, aby dotrzeć do prawdy. Człowiek nie jest niewinny, lecz zarazem nie jest winny. W jakiej mierze i w jakich granicach? Nie wiadomo. Czekając – ponieważ jest to etyka prowizoryczna – Rieux, porteparole autora, wierzy, iż trzeba wyleczyć to wszystko, co może być wyleczone. Wyznanie niewiedzy, ale również postanowienie w znaczeniu podjęcia koniecznego działania, bez względu na to, jak niepewny byłby rezultat.

„L’État de siège” (Stan oblężenia), którego premiera przyciągnęła sporą publiczność (nazwiska współpracowników, jak Balthus, Barrault itd. dodały jeszcze blasku samemu autorowi), nie odniósł żadnego sukcesu. Albert Camus nie mniej jednak starannie przygotował sztukę, nie tylko jeśli chodzi o samą redakcję. Spędził nad nią pięć tygodni, pracując od godziny czternastej do drugiej w nocy. Jego zwolennicy i przeciwnicy zjawili się na przedstawieniu, ale krytyka w ogólności była nieprzychylna i sztuka pokazana została jedynie 23 razy. Oto czego dowiedziałem się z będąc daleko z czasopism i z jednego listu od Camusa.

Nie był na tyle hipokrytą, aby po porażce cieszyć się lub udawać obojętnego. Uważał, że dzięki temu ma „subtelna” satysfakcję polegającą na tym, iż będzie miał mniej spotkań. O samej sztuce mówił, iż była to „ próba stworzenia czegoś w rodzaju współczesnego moralitetu” oraz dodawał: „Dobrze widzę jej braki. Włożyłem w nią jednak sporo własnego uczucia. Jest to dzieło miłości (w szerokim sensie tego słowa). W każdym razie teraz piszę sztukę, którą miałem już na warsztacie”.

Sztuka, nad którą Albert Camus pracował, nazywała się „Les Justes” (Sprawiedliwi). Zaczął od nadania jej tytułu „Les Innocents” (Niewinni). Zwróciłem mu uwagę na dwuznaczność tego słowa, które może mieć w równym stopniu znaczenie pejoratywne, jak i przeciwstawne. Przyznał mi rację: „W <Les Innocents> zawarłem ironię, na którą sam jestem osobiście wrażliwy. W rzeczywistości są to sprawiedliwi. A za wściekłość się płaci”.

Przedstawienie spowodowało sprzeczne oceny i uzyskało – pomimo talentu głównej odtwórczyni – połowiczny sukces. Inaczej było potem.

Po „Wygnaniu i królestwie”(1955) Camus zamierzał napisać, jak to nazywał, powieść „direct” (wprost), czyli taką, która nie byłaby – jak poprzednie – „zaplanowanym mitem”. Z góry opowiadał o powieści, że będzie „edukacyjna” (odniesienie do „L’Education sentimentale” Flauberta) lub podobna. Myślał, jak później zrozumiałem, o „Premier homme” (Pierwszym człowieku).

*

Kiedy Albert Camus opowiadał o swoim dziele robił to obojętnie, co kontrastowało z jego widocznym przywiązaniem do własnych idei. Nie licząc samych cierpień, wynikających z choroby, wojny, wygnania z ojczyzny itd., często odczuwał strach przed pustą kartką. Mając 44 lata (w 1957) zapytywał się samego siebie, czy nie byłoby lepiej przerwać tego – jak uważał – jałowego wysiłku, który zabierał go innym oraz „w wielkiej części samemu sobie”. Te refleksje snuł tuż przed otrzymaniem nagrody Nobla.

O nagrodę Nobla nie starał się. Także nie odmówił jej przyjęcia. Z jakiego powodu miałby to robić? Ogłoszenie korzystnego dla niego werdyktu nieco go ogłuszyło. Poczul potrzebę wycofania się. Przed wyjazdem do Sztokholmu udał się do Algierii, aby tam zebrać elementy autobiografii nie tylko samego siebie, lecz „pierwszego człowieka”, biednego Europejczyka, który ląduje na nieznanej i wrogiej ziemi i zakorzenia się tam, aby stworzyć nowy naród. Przynajmniej taka była intencja autora.

W końcu to potrzeba samotności i ciszy kazała mu osiąść w Lourmarin, gdzie udawało mu się dobrze pracować nad własnymi rzeczami. Powiadał o sobie, że jest „kompletnie zde gustowany” tym, co mówi się i pisze, „nowoczesnością”, „epoką”, również swoimi dawnymi książkami.

Jakie więc życie zamierzał prowadzić? Pisał o tym w liście z 28 grudnia 1959, tzn. na tydzień przed swoim powrotem z Michele Gallimard, z którym związany był wielką przyjaźnią; przed powrotem, który na zawsze został zatrzymany między Sens a Fontainebleau. Spędził właśnie sześć tygodni w swoim domu w Lourmarin. Dobrze tam pracował, prowadząc życie klasztorne, składające się z samotności i prostoty, które sprzyjały jego pracy, chociaż – jak mówił – praca była przymusem, który sobie zadawał; przymusem niezbędnym i zbawiennym.

Zamierzał przeplatać pobyty w Paryżu tymi w Lourmarin. W każdym razie cieszył się, że będzie mógł od czasu do czasu powracać do tej pięknej i dobroczynnej krainy, która przyniosła mu ukojenie.

IV

Przypadek Alberta Camusa nie jest najmniejszym paradoksem w historii literatury. Autor „Obcego”, kiedy mieszkał przez kilka lat u swojego wujka w okresie dojrzewania, kształtował gust mając za pokarm duchowy dzieła zebrane Anatole’a France’a. Sam Camus zadziwiał się tym: w młodym wieku czytać takiego zapomnianego autora! Specjaliści od „wpływów” oraz „źródeł” w tym przypadku nie mają szans.

Wujek Alberta Camusa, pan Acault, był z zawodu rzeźnikiem, a jego sklep nazywał się „francusko-brytyjski”, aby pokazać burżujom, jak powiadał, że jego mięso jest pierwszej jakości. Był to człowiek o oryginalnym charakterze, który sam się ukształtował. Kiedy go poznałem, nie mógł mieć więcej niż pięćdziesiąt lat. Smakosz pełen życia, dowcipny, typ rabelaisowski. Jego ulubionym daniem była kielbasa z Lyonu. Mieszkał zresztą w Lyonie. Jego bratanek opowiedział mi, iż w czasach rozkwitu ruchu anarchistycznego był aktywnym anarchistą. Pozostały mu po tym epizodzie sądy mało konformistyczne - partia komunistyczna tak samo nie podobała mu się, jak partie prawicowe czy Kościół. Jego upodobanie do Anatole’a France’a wytłumaczyć można w miarę dobrze epoką jego młodości. France uchodził wówczas za najlepszego pisarza wszech czasów.

Atoli nie wyłączał innych pisarzy, skoro podziwiał Joyce’a, którego „Ulissesa” przeczytał i wracał do niego. Zapewne jego entuzjazm wywoływały strony pełne humoru i rubaszości. Zdarzało mi się wypić z nim kieliszek anyżówki w Café de la Renaissance na ulicy Michelet na wprost jego sklepu rzeźniczego.

Powołanie pisarskie u Alberta Camusa pojawiło się bardzo wcześnie. W klasie drugiej oraz prawdopodobnie w pierwszej licealnej w Algierze redagował szkolne czasopismo wraz ze swym kolegą Didier (który został jezuitą i zginął kilka lat temu w wypadku). Niczego to nie dowodzi – był to rodzaj rozrywki szkolnej.

Zupełnie co innego było wówczas, kiedy pewnego dnia spotkałem go przed główną pocztą w Algierze (był właśnie po maturze) i gdy zapytał mnie, czy moim zdaniem mógłby pisać, to znaczy pisać rzeczy warte publikacji oraz czy da sobie radę na studiach filozoficznych!

W wieku osiemnastu lat Albert Camus ze wszystkich sławnych pisarzy tamtej epoki wolał Gide’a, którego „Dziennik” uważał za „ludzki” (na taką ocenę niewielu zasługiwało w jego oczach).

W tamtej epoce nie mógł wiedzieć o tym, iż pewnego dnia zamieszka w tym samym domu co Gide, przy ulicy Vaneau. Ze wszystkich młodych pisarzy Gide wolał Sartre’a i Camusa, a jego sądy przechwytywane były niewiarygodnie szybko przez opinię publiczną. Śmierć Gide’a w 1951 roku nie pozostawiła Camusa obojętnym.

*

W tamtym czasie Camus uważał Prousta za twórcę (jego zdaniem nie było większej pochwały); w dziele tego pisarza uderzał go kontrast pomiędzy wielkością kompozycji a drobiazgowością szczegółu. Tak go podziwiał, że z niechęcią – jak mówił – odrywał się od jego książek. Tyle rzeczy w nich znajdował, które sam przeczuwał, że kończył refleksją: „Wszystko zostało powiedziane. Nie ma po co do tego wracać”. Widząc jego podziw tym bardziej byłem szczęśliwy, gdyż to ja dałem mu zupełnie przypadkowo „W poszukiwaniu straconego czasu”, nie wiedząc, czy świat Prousta będzie mu odpowiadał.

*

Od czasu do czasu dzieliłem się z nim lekturami, kiedy chodziło o książki, które moim zdaniem warte były uwagi. Tak było z książką Rachel Bepaloff „Cheminements et carrefours”, gdzie Camus znalazł tematy, którymi sam się zajmował. Podobał mu się jej „wrażliwy”, jak określił, ton, żałował jednak, iż idee za bardzo zostały skondensowane (wada ta była tylko rezultatem zbyt radykalnie zastosowanego dobrego pomysłu). Jedynym zarzutem, jaki naprawdę postawił temu tomowi esejów (moim zdaniem wspaniałemu), było stwierdzenie, iż znaczenie słowa „absurdalny” nie bardzo różniło się od pojęcia „irracjonalny”. Jego zdaniem Nietzsche niewiele miał wspólnego z Kierkegaardem. Wiadomo, biorąc pod uwagę twórczość Camusa, jak ważne było to w jego przypadku rozróżnienie.

Camus nie był niestrudzonym czytelnikiem. Lubił jednak być na bieżąco z najbardziej interesującymi publikacjami, nawet z dziedzin, które stosunkowo oddalone były od jego zainteresowań, ale tylko pozornie.

Pewna książka uderzyła mnie dziwną osobowością głównego bohatera oraz nowatorstwem myśli. Chodziło o zakonnika znanego jedynie w swoim zgromadzeniu i żyjącego na uboczu, z którym spotkania nie odmówiłby Bergson czy inne wielkie umysły. Camus nie pozostał nieczuły na wielkość tego bohatera przedstawionego przez Jeana Guittona i bardzo chciał poświęcić „Portrait de M. Pouget” (Portretowi pana Pouget) artykuł, który – według mnie -wskazywał na świetne zrozumienie tematu, a ocena jego była bardzo sprawiedliwa.

*

Podczas pracy nad „Człowiekiem zbuntowanym” A. Camus – powodowany uczciwością intelektualną - przeczytał znaczącą liczbę książek, które pozwoliły mu odkryć niektórych, rzadko wspominanych, ponieważ usytuowanych poza głównym nurtem epoki, dziewiętnastowiecznych myślicieli. Podobnie było z lekturą wielu pozycji o rewolucji rosyjskiej 1905 roku przed pracą nad „Sprawiedliwymi”.

Jego ulubione utwory zawsze były autorstwa „moralistów”, jak na przykład Chamforta, któremu poświęcił wykład. Sam uważał się za „moralistę” i zostawiał Niemcom, i ich niezliczonym uczniom piękną nazwę „filozofów”.

*

Jego znane stosunki z Sartre’em wynikały, jak wiadomo, z ogromnej różnicy charakterów, chociaż cenili się nawzajem. Camus był wdzięczny Sartre’owi za artykuł o „Obcym”, który ukazał się w „Cahiers du Sud”. Podziwiał jego analizę, uznawał zasadność niektórych zarzutów, przenikliwość niektórych uwag. Nie wypowiadał się na temat sposobu „rozbioru” dzieła, którego tworzenie ma charakter spontaniczny, niewspomagający powstania tak inteligentnej analizy. Uznawał jednak, że jeśli chodzi o krytykę, to jest ona rodzajem gry. W każdym razie, jak stwierdzał na koniec, znając tych, co są przeciwko Sartre’owi, trzeba być razem z nim.

*

Albert Camus od początku swojej kariery żył w dwóch różnych środowiskach – w Algierze wśród młodych ludzi swojej generacji, którzy publikowali w wydawnictwie Charlot, a następnie w Paryżu w kręgach la Nouvelle Revue Française (NRF). Charlot, którego

poznałem jako ucznia, od najmłodszych lat wykazywał żywe zainteresowanie i książkami, i sprawami finansowymi, co musiało doprowadzić do założenia przez niego własnej księgarni. Nazwał ją „Les vraies richesses”, zapożyczając nazwę z tytułu książki Giono. Charlot stworzył kolekcję małych książek w formacie broszur „Méditerranéennes” oraz pismo „Rivages”. Dzięki tym wydawnictwom młodzi autorzy, którzy nie mieli innych możliwości druku, mogli dać się poznać jako pisarze. W ten sposób Albert Camus opublikował (nie licząc wcześniejszego anonimowego tłumaczenia „Coplas andalouses”) „L’Envers et l’Endroit” (Dwie strony tego samego) oraz „Noces” (Zaślubiny). Obie książeczki odniosły sukces u niewielkiej, lecz uważnej publiczności studenckiej w Algierze.

Rękopis „Obcego” został natychmiast zaakceptowany w wydawnictwie Gallimarda, które wysłało autorowi kontrakt na napisanie dziesięciu pozycji oraz zaliczkę.

Rzeczą zbyteczną jest pisanie tu o przyjaźniach i stosunkach, jakie Camus zawiązał w NRF.

*

Wiem dobrze, że największe wrażenie na młodym Albercie Camusie wywarły książki „La Douleur” André de Richaud oraz „La Maison du Peuple” Louis Guilloux, które bliskie były jego światu. W ten sposób spotkał się z utworami moich przyjaciół. Camus we wstępie do „Compagnons” (Towarzyszy) Guilloux wytłumaczył, dlaczego wzruszały go tego typu książki, w których biedne i czasami poranione dzieciństwo służyło jako pożywka dla dzieła. Pozwalały one odkryć skarb, który - zdaniem tylu innych - wypadaloby schować i zapomnieć. Czyż geniusz Gorkiego nie polegał na tym, aby nigdy nie zgubić z pola widzenia tego, co kazało mu cierpieć i przekształcać nieszczęście w piękno, jak gdyby to ostatnie nie mogło wnikać w nas inaczej jak przez zranienie?

Kilka miesięcy przed swoją śmiercią Camus czytał listy Nietzschego.

Nietzsche, powiadał, mówił o sobie jako o Panu Bogu, nie przestając być przy tym godnym pożałowania. Więc nie był to Pan Bóg.

A propos Nietzschego przypominam sobie, że dawno temu zapoznałem Camusa z małą książką opublikowaną pod pseudonimem, a zatytułowaną „Divinité de Nietzsche” (Boskość Nietzschego). Było to żarliwe potwierdzenie jego boskości. Bardzo lubiłem tę książkę, która była czymś więcej niż apologią: to był akt wiary. Nietzsche w Eze i w Turynie oraz jego objawienie prawdy o sobie!

Camus, rozważając ten akt wiary jako grę na poważnie, pozostawał nieufny. Rozumiał jednak tę pomyłkę i ją wybaczał – Nietzsche zawsze przejawiał wolę nieświadomego naśladownictwa, na przykład Dionizosa czy Chrystusa. Według niego Nietzsche naśladował ich, ponieważ był wyczerpany byciem sobą. A trzeba, dodawał, zgadzać się na bycie sobą.

Tym, co Camus podziwiał przede wszystkim u Nietzschego była jego nieustająca walka z fizycznym bólem. Jako podsumowanie, dorzucił: „Nie zawsze jest prawdą, że szlachectwo zobowiązuje. Natomiast często obowiązek czyni kogoś szlachetnym.” Jak nie myśleć, że ten, który tak mówi o kimś innym, jest jakby nim samym?

Camus, który nie oddzielał literatury od człowieka, pisania od życia, największy swój podziw wyrażał – z powodu powyższych więzi – dla Rosjan, z których Tołstoj (jego zdjęcie miał w swoim pokoju w Lourmarin) był największy. Tołstojowi wybaczał kaznodziejski ton. Dostojewski go fascynował. Zresztą wszyscy go interesowali, nawet niejaki Sałtykow-Szczedrin, którego powieść „Państwo Gołowlewowie” wydała mu się utworem zachwycającym i przejmującym.

Camus niewiele miał złudzeń co do sławy jako takiej. W tym samym dniu, kiedy zakomunikował mi, że właśnie sprzedano dwadzieścia tysięcy egzemplarzy „Lata” (a czyż nie

opublikował już sporo książek?), opowiedział mi taką historię: „Pacjenci sanatorium szukali i nie znajdowali moich książek w bibliotece Saint-Lazare. Byłem tu nieznanym. Bibliotekarka oznajmiła mi, iż szukali moich książek tylko dlatego, że jestem członkiem komitetu towarzystwa czytelniczego sanatoriów i oni chcieliby dowiedzieć się, o czym piszę”.

W jakiś czas potem ktoś mu oświadczył: „Ach, panie Camus, nie powiedział pan, że jest pan sławny! Teraz już wiem, widziałem pański film”. (Chodziło o reżysera filmowego Camusa).

Nagroda Nobla (z powodu właściwego jej rozgłosu) musiała rozświecić na całym świecie pisarza, którego nazwisko błyskawicznie stało się znane – zresztą jedynie w środowiskach literackich i ludzi młodych – po opublikowaniu „Obcego”. Wcześniej Albert Camus otrzymał Prix des Critiques”. Tłumaczenia były coraz liczniejsze. Obecność Camusa na międzynarodowych konferencjach - dzięki urokowi jego osobowości – pobudzała zainteresowanie dziełem. Nagroda Nobla była ukoronowaniem sławy. Dochodził do tego młody wiek autora, któremu przyznano tak prestiżową nagrodę.

W Sztokholmie, jak dowiedziałem się podczas podróży, mówiono o nim przede wszystkim w kręgu pisarzy nowej generacji, którzy zostali członkami jury. Redaktorzy naczelni paryskich czasopism, zobowiązani przez swój zawód do przewidywania wielkich wydarzeń, aby nie dać się zaskoczyć z pustymi rękami, ubiegali się od kilku lat o spotkania („wywiady”) z Camusem, chcąc mu zadać pytanie: „Otrzymał pan właśnie nagrodę Nobla. Jak pan by zareagował?”

Niektórzy pisarze chętnie, niejako awansem, odpowiadali na takie pytania, udzielając odpowiedzi, które prawdopodobnie nigdy nie ujrzą światła dziennego. Albert Camus odmawiał. Przewidywał i życzył nagrody André Malraux, który zresztą udał się z wykładem do Sztokholmu. Camus zachował wielki podziw dla Malraux, czego pierwszym dowodem było wystawienie przez niego w Algierze „Czasów pogardy”.

Aprobata publiczna dla nagrody Camusa była prawie powszechna. Mówię „prawie”, ponieważ wbrew moim oczekiwaniom pojawiły się gwałtowne ataki. Najbardziej perfidny polegał na porównaniu Camusa z Sully – Prudhomme, pierwszym Francuzem – laureatem Nobla, którego twórczość została zdyskredytowana. Sam Albert Camus, doradzając mi, abym zaakceptował zaproszenie pewnego tygodnika do napisania artykułu o nim, poinformował mnie, iż będzie miał teraz więcej wrogów niż kiedykolwiek.

Nie jest moim zamiarem opowiadać anegdoty ani pisać kronikę wydarzeń literackich, ani opisywać środowisko czy kreślić portrety ludzi. Zadowolę się więc przywołaniem przyjacielskiej atmosfery i prostoty przyjęcia przedsięwziętego przez Philippe’a Hériata wraz z tuzinem przyjaciół pisarza przed jego wyjazdem do Sztokholmu. Poza tym pozostało mi jeszcze w pamięci spotkanie z nim w cztery oczy przy stole, już po ogłoszeniu werdyktu o nagrodzie Nobla i wyjeździe do Algierii. Wyglądał i mówił o sobie, że jest jak ogłuszony tym, co niedawno się stało. Nie był, jak tyłu innych, hipokrytą, litującym się nad sobą. Jak domyślam się, zobaczył się ze swoją matką i swoim nauczycielem i to było tak, jak gdyby pod jego palcami połączyły się pierwsze i ostatnie ogniwa kłosa. Obraz ten przyszedł mi do głowy w tej chwili, w tym symbolu jest jednak zbyt dużo realizmu.

V

W młodości Alberta Camusa pociągały – bardziej niż później – podróże. Zresztą nie wszystkie były szczęśliwe. Taki był wyjazd podjęty z przyczyn osobistych do Austrii w lipcu 1936 roku. W Salzburgu mógł chociaż podziwiać ogrody i dzieła sztuki, jednak w Pradze, gdzie cierpiał z powodu samotności, poczucie wygnania stało się nieznośne. Tę samotność czuł i we własnym kraju. Camus napisał okrutne strony o Oranie, nie ukrywając mimo to swojego przywiązania do niego, nie tyle do miasta jako takiego, ile miasta jako fragmentu Algierii. Oran był dla niego miastem brutalnym, lecz płodnym. To był płomienny Labirynt, gdzie Minotaur przedstawiony został jako nuda (tak jak w broszurce, którą poświęcił Oranowi). Były rzeczy, które cenił nade wszystko: było to słońce i morze. Spędzał czas na opustoszałych i rozległych plażach w okolicach Oranu pod namiotem, żyjąc prostym życiem, które czyniło go szczęśliwym. „Poranki na plaży wyglądały jak pierwsze poranki świata”. Te słowa, które można byłoby wziąć za typowe dla romantyków, w jego ustach nabierały osobistego i pełnego znaczenia.

Jeżeli jest jakikolwiek poeta jutrzeński, to jest nim Camus. Pierwszy dzień... ale również pierwszy człowiek (tytuł nieukończony i niewydanej książki). Pierwszy w czasie i ponadto pierwszy w doskonałości. Dlaczego? Ponieważ wszystkie początki są piękne dla tego, kto kocha życie (wcale to nie przeszkadza w myśleniu, iż dzieło jest piękne tylko dzięki wykończeniu; twórczość nie musi mieszać się z życiem), ponieważ to, co możliwe nie zmieniło się jeszcze w fatum, ponieważ... czyż trzeba tyle ponieważ? Nie było nam dane wybierać, pozwolono nam kochać to, co zostało wybrane dla nas wówczas, kiedy nasz los zgadzał się z naszą naturą.

Pierwsza podróż do Włoch, kiedy był jeszcze studentem, zachwyliła go. Florencja, gdzie spędził kilka cudownych dni, urzekła go. Później poznał Rzym, miasto, wobec którego - tak mi się zdaje - inne miasta blakną. Camus spacerował tak, jak gdyby miał coś odkryć, nie szukając pomocy u przewodnika, nie gardząc muzeami ani kościołami, ale też nie zmuszając się do tego, aby do nich wejść. Dla niego była to kuracja: piękno leczy, a światło karmi, powtarzał. Wzgórza (Janiculus, Palatyn), fontanny, willa Hadriana, oto miejsca – gdzie dekorum stapia się z pejzażem - które zatrzymywały jego uwagę. Dostrzegł różnicę pomiędzy światłem rzymskim a toskańskim: to ostatnie było zatomizowane, prawie rozpylone, pierwsze – płynęło z nieba „regularnie i obficie, wypełniając serce”

W młodości Włochy odkryły mu, co to jest sztuka. W wieku dojrzałym widział w nich nadal, pomimo najazdu skuterów marki Vespa, miejsce do szczęśliwego życia. Wiosną 1955 roku, myśląc o Umbrii, zanotował à propos drogi, jaką przebył od Montesansavino do Sienny: „To jest ziemia zmartwychwstania. Chcę przez to powiedzieć, że właśnie tu można wyobrazić sobie odnajdujących się po śmierci przyjaciół i kochanków”. Zmartwychwstanie rozgrywane tutaj, a nie w dolinie Jozafata, w tym tylko celu, aby połączyć tych, którzy zostali rozłączeni...

Grecja dała Camusowi powód do jeszcze innego szczęścia, które rodzi odczucie przestrzeni, podobnego do wrażenia, jakiego może doświadczać człowiek wychodzący z więzienia i postawiony „nagle na nagiej górze, odcinającej się od pełnego nieba”. (Szczególnie Mykeny wywarły na nim duże wrażenie). Grecja, jak się zdaje, wyleczyła go raz na zawsze z zamknięcia w sobie, z tego wewnętrznego więzienia, w którym sam się zamurował. Morze i wyspy stanowiły tym bardziej dla niego raj – „Wyspy Szczęśliwe”.

Nawet w momencie najwyższego szczęścia pojawić się może dysonans. Widziana ze statku, leżąca na wprost Grecji, Azja Mniejsza wywołała w Camusie obraz „dwóch tak odmiennych wszechświatów, jak dzień i noc”. Jednak, co podkreślił, bieda jest taka sama.

Pytał więc, czego brakuje tej stronie, a w co obfituje tamta? Odpowiedź znajduje się w jego dziele.

Odpowiedź ta wynika z przyjęcia określonej idei człowieka, z wiecznej wartości przyznanej ludzkiej naturze. Azja jest tysiącletnią opozycjonistką wobec całkowitej supremacji człowieka, którą ustanowiła Grecja, a następnie przyjął Zachód.

A Ameryka? A Japonia? Oto kraje, do których wypada pojechać, jeśli chce się być w zgodzie ze swoją epoką. Nie mogło zabraknąć ciekawości temu, kto tak długo był pozbawiony przez chorobę możliwości zobaczenia tego, co dzieje się daleko od niego. Z Japonii Camus dostał wielce ciekawe propozycje. Pomimo krótkiej podróży samolotem, poczuł się jednak zmęczony. Stale to uczucie duszności i klaustrofobii... I, jak przypuszczam, skryte myślenie o czekającym na napisanie dziele, nad którym się nie pracuje, bo inni w tym przeszkadzają, bo skoro zostało już stworzone jedno, to ono im wystarcza, ale nie wystarcza ono jego twórcy – to dzieło uznane za doskonałe - ponieważ źródło w nim samym jest niewyczerpane. A jeśli źródło zatrzymuje się na chwilę, to zaraz potem zaczyna znów swoją pracę pod warunkiem, iż nic i nikt obcy mu w tym nie przeszkodzi. Zresztą bardziej okrutni są admiratorzy niż pogardliwi krytykanci. Ci ostatni przynajmniej pozostawiają pisarzowi spokój, jeżeli jest on dosyć twardy, aby nie liczyć się z nimi.

Ameryka Północna skusiła Alberta Camusa w 1947 r., Południowa – w 1949 r. W dwóch tych przypadkach wysłany został przez wydział współpracy kulturalnej ministerstwa spraw zagranicznych. Pomimo iż nie przepadał za cywilizacją amerykańską, przyjemnie zaskoczony został tutejszą wysokością poziomu życia, równością – przynajmniej jeśli chodzi o białych – w stroju, zachowaniu, postawie, na którą mogli sobie pozwolić pracownicy fizyczni: „zamiatacze ulic i śmieciarze noszą rękawiczki”. Zdenerwowała go przesada w używaniu radiodbiorników radiowych, za znak nadziei natomiast uznał fakt, iż za pomocą monety można w niektórych lokalach całkowicie je wyciszyć. Naturalnie, zwyczaj polegający na ubieraniu i upiększaniu zmarłych, każde udawanie mające na celu zapomnienie o śmierci nie mogło być przez niego zaakceptowane. Jednak uznał – zwrot ten wydał mi się wprawdzie zadziwiający, a następnie znaczący – iż mimo wszystko jest to sposób, aby uniknąć żałobnej przesady, w której znajdują upodobanie Europejczycy. Być może Camus zaakceptowałby neapolitańskie kondukty pogrzebowe, gdzie karawany przedstawiają apoteozę wesołych aniołów, grających na trąbkach: symbol jeśli już nie życia ziemskiego, to mimo wszystko - życia i szczęścia.

W Ameryce Południowej – ależ czyż muszę opowiadać anegdoty? Nie. Podróż tam bardzo go zmęczyła, oficjalny objazd stolic - zmuszający do przeskakiwania z samolotu w samolot, aby nie pominąć żadnego kraju tego ogromnego kontynentu – wyczerpał. Tematy jego wystąpień były następujące: „Powieść i bunt”, „Chamfort”, „Duch buntu”. Wystawiony był na wiele pytań, na które jego dzieło już zawczasu przygotowało odpowiedzi. Pewnego dnia studenci brazylijscy zapytali go, dlaczego uprawia teatr „filozoficzny”. Znana jest jego odpowiedź, która nie była niczym innym jak butadą: „To bardzo krótka filozofia, którą streścić można w dwóch zdaniach: Człowiek umiera. I nie jest szczęśliwy”.

Podczas tej długiej wyprawy jego status wydawał mu się fałszywy. Miał wrażenie, że został wysłany w te dalekie kraje jako „młoda gwiazda” nowej literatury i ma się stosownie do tego zachowywać. Pisarze zasypywali go rękopisami w nadziei, że przekaże je do druku jakiemś ważnemu wydawnictwu w Paryżu, jakby on miał czas na czytanie wszystkiego i decydowanie o wszystkim.

Oczywiście interesował się wieloma ludźmi i miejscami, np. pielgrzymką do Jezusa z Iguape, której początki sięgają trzech wieków wstecz - świadectwem spontanicznej, ludowej pobożności. Przejmował się tą manifestacją biedy, zgromadzoną wokół bogatych domostw i wielkich hoteli. Jednak najsilniejsze przeżycie, którego doznał w Brazylii, dotyczyło macumby, inicjacyjnych, wywodzących się z Afryki, kultów . Ślady tego doznania odnaleźć

można w opowiadaniu zatytułowanym „La pierre qui pousse” (Rosnący kamień), w którym przedstawiona jest wizja braterstwa jednoczącego wszystkich ludzi poza jakąkolwiek nadprzyrodzoną opieką.

*

Czwartego sierpnia 1947 roku wyruszyliśmy razem do Bretanii. Albert Camus zgodził się nam, mnie i mojej rodzinie, towarzyszyć. Jechaliśmy powoli, ponieważ samochód był niedotarty, my dwaj zmienialiśmy się przy kierownicy. To wówczas Camus opowiedział mi historię o „fałszywej służącej”, która wydarzyła się całkiem niedawno. Podczas gdy Camus był w Ameryce, pewna młoda dziewczyna zgłosiła się jako pomoc domowa i została przez żonę przyjęta. Pewnego dnia żona zaprosiła przyjaciela domu na obiad, a ten, ujrawszy służącą, wykrzyknął: „Przecież to X!” Panienska okazała się być dziennikarką, która wyznała, iż starała się o to „miejsce”, aby dowiedzieć się, w jaki sposób Albert Camus zadedykuje książkę służącej i przede wszystkim w celu poznania prywatnego życia autora.

*

Bretania zupełnie nie spodobała się Albertowi Camusowi. Żeby wykapać się, trzeba było zawczasu dowiadywać się, z powodu pływów morskich, o godzinach przyływu, bo inaczej można było iść kilometrami brzegiem oddalonego morza. Słońca często brakowało. Bretania nie rezygnowała z budzenia ciekawości w oczach człowieka, przyzwyczajonego do estetyki śródziemnomorskiej. Poza tym ten kult śmierci, który tyle tu zajmuje miejsca. Czy rzeczywiście chodzi o kult? Nie, raczej o krzątanie się wokół śmierci, które widać w częstych wizytach na cmentarzach. Albert Camus źle znosił widok mizerności ludzkiej. Uważał, że człowiek naprawdę wystarczająco jest narażony na tyle nieszczęść, żeby mu oszczędzić dodatkowego zmartwienia w postaci publicznej ich demonstracji. Nie negocjował ludzkiego nieszczęścia; spoglądał mu w twarz i szukał środków zaradczych. Nie lubił jednak, kiedy ktoś znajdował w nim upodobanie, było to niepotrzebne i niezdrowe.

Noc spędziliśmy w Rennes, następnie udaliśmy się w kierunku Saint- Malo, zatrzymując się w Combourgu pośrodku pól porośniętych jałowcami i wrzosowiskami. „Chciałbym, rzekł do mnie Camus (niezupełnie tymi słowami), żeby moje pióro było lżejsze, bardziej giętkie”. Zachowując jakość stylu Stendhala, Camus chciał wzbogacić swój styl elementami stylu Chateaubrianda. Udało mu się to, jak świadczy zakończenie „La Femme adultère” (Wiarołomnej żony). Jak każdy przedstawiciel Śródziemnomorza był wrażliwy – chociaż zarazem nieufny - na „melodię zdania”, na bel canto.

Czy zamek w Combourgu można było zwiedzać właśnie tego dnia i o tej godzinie, kiedy przybyliśmy? Nie pamiętam tego dobrze, wiem, że robiono nam jakieś trudności. Właścicielka zamku zeszła na dół, aby ujrzeć, o jaki rodzaj gości chodzi. Nazwisko Alberta Camusa było jej nieznane. Zapytała nas, jakie przede wszystkim chcemy zobaczyć pokoje. „Pokój Chateaubrianda” – odparliśmy. „Chateaubrianda? Którego, głowę rodziny czy pisarza?” Zdziwieni tym pytaniem, odpowiedzieliśmy, że pisarza. Rzeczywiście wielki pisarz okazał się być potomkiem głowy rodu. Nie upierałem się przy tej wizycie. Sama budowla w czasie XIX stulecia uległa nieszczęśliwym modyfikacjom. Otoczenie również, skoro nie było starodawnych zabudowań pomiędzy zamkiem a stawem. Mimo wszystko wizyta w Combourgu i przede wszystkim w Saint-Malo pozostawiły w Camusie odczucie wielkości, którego poszukiwał w krajobrazach, jak i w dziełach sztuki czy w życiu, traktując je jako swoisty probierz.

Wraz z Louis Guilloux wybraliśmy się na wycieczkę do Tréguier, gdzie odwiedziliśmy dom Renana, kościół i wirydarz z krużgankiem. W księżde domu - muzeum Renana - Albert Camus wpisał swoje nazwisko.

*

Camusa ciągnęło do Egiptu. Nalegałem, kiedy tam mieszkałem (w latach 1945 – 1950), żeby przyjechał. Spodobałby mu się klimat i majestatyczne krajobrazy oraz zabytki. Ale, jak powiadał pisarz, wydział współpracy kulturalnej MSZ proponował mu wówczas podróże do wszystkich krajów poza Egiptem. Widocznie uważano, iż niebezpieczne będzie przybycie do Egiptu kogoś, kto optował za Arabami w Algierii! Kair był podówczas kuźnią panarabizmu i jego przyjazd dołałby oliwy do ognia.

Pewnego razu (sytuacja zewnętrzna na pewno się zmieniła) pojawiła się dogodna sytuacja do przyjazdu Camusa. Zaproponowano mi powrót do Egiptu z serią odczytów. Camusowi przypadła do gustu idea wyjazdu ze mną (Couve de Murville, ówczesny ambasador Francji w Kairze, zorganizował w ten sposób wykłady, że mogliśmy występować na zmianę). Cieszył się z tych niespodziewanych wakacji, kiedy choroba kogoś z członków jego rodziny przeszkodziła mu w wyjeździe. Wtedy i ja zrezygnowałem.

*

Prawie w ogóle nie pociągały go kraje azjatyckie. To, co widział poza Europą utwierdziło go w przekonaniu, że żaden kraj nie był wart Śródziemnomorza.

W 1959 r., na początku lata, zaproponowano mi udział w kongresie w dalekim kraju, który chciałem bardzo odwiedzić już od dwudziestego roku życia. Wyraziłem zgodę, a następnie – w miarę jak data wyjazdu zbliżała się – nasuwały mi się wątpliwości. Podróż miała trwać krótko, odległości były ogromne – wyprawa mogła być naprawdę męcząca: nie zobaczę prawie niczego, wszystko zmieni się w rozmowy i przyjęcia. Z drugiej strony jest to jedyna okazja...

Zwierzylem się z mojego kłopotu Albertowi Camusowi, który wysłuchał mnie z miną na wpółironiczną, na poły współczującą. Wiedział dobrze, że jestem z natury niezdecydowany. To, co czuł w tym momencie do mnie, to była raczej sympatia zmieszana ze współczuciem niż irytacja.

„Kiedy ktoś wybiera się w daleką podróż, musi zapytać, co może mu się stać złego. Najwyżej umrze. A więc?” Takie było jego zdanie.

Często, od tamtej chwili, myślałem o jego odpowiedzi.

Lato minęło, a ja zakomunikowałem Camusowi, kiedy go ponownie ujrzałem, że (zresztą po wielu wykrętach) nie wyjechałem. Pogratulował mi: „Należy robić tylko to, na co ma się największą ochotę”.

VI

„Zamknijcie okno, jest zbyt pięknie!” Oto słowa, które wypowiedział na łożu śmierci Le Poittevin, przyjaciel Flauberta, zacytowane przez Alberta Camusa w „Carnets” (Zeszytach).

Nie ma sensu o tym rozmawiać z ludźmi, którzy w kontakcie z Naturą nie doświadczyli uczucia ekstazy. Dla tych innych to prawie oczywistość: ci żyją jedynie w oczekiwaniu lub wspominając chwile, kiedy przestawali być sobą, stając się częścią większej całości.

Kiedy z wysokości dzielnicy Hydra schodziłem w kierunku kolumny Voirol, Palais d’été, parku Galland, idąc następnie bulwarem od hotelu Aletti po plac du Gouvernement, szedłem w chwałę wschodzącego słońca, ponieważ najczęściej o poranku udawałem się do liceum w dzielnicy Bab-el-Oued (używam starych nazw, nowe nie są mi znane). Idąc tak odczuwałem prawdziwą radość, którą tak trudno nazwać, chyba że po prostu: nieuświadomianą zgodą pomiędzy człowiekiem a otaczającym go światem.

Nie mówiłem o tym nikomu. Doznanie to było jednocześnie zbyt intymne i banalne. Jednak na pewno byłem tym przeniknięty, a inni musieli mój stan odgadywać, szczególnie ludzie młodzi, którzy czatują na słabostki starszych, mogąc również przejawiać bardzo przychylną w tych sprawach ciekawość. Jeśli chodzi o mnie, to z tymi, którzy odczuwali podobnie, zawarłem przymierze, prowadzące do spisku albo zmywy. Nie wiedziałem, kim oni byli. Możliwe, że zbliżałem się do nich z racji mego zawodu albo i nie. Więc milczałem.

Gdyby mnie zapytano, co mówiłem Camusowi, odpowiedziałbym nie kłamiąc: nic. Camus mógł potem czytać to, co napisałem o Śródziemnomorzu, lecz myślę, że jeśli cokolwiek mu przekazałem, to tak jak przekazuje się chorobę, tak jak zaraża się kogoś swoją pasją. Zresztą on sam nosił już w sobie ziarna tej choroby, tej pasji, które prawdopodobnie tylko nieco przyspieszyły swój rozwój.

Wspomniałem już o jego krytycznym milczeniu. Umiał również milczeć aprobująco, takim milczeniem zbliżającym ludzi, których wspólne życie mogłoby poróżnić.

Słońce i morze. Czyż mam prawo o nich mówić, ja, który spędziłem dzieciństwo we mgłach opodal Oceanu, tak odmiennego od Morza Śródziemnego, którego Ocean jest przeciwnikiem? W sytuacji, gdybym odczuł taką potrzebę mówienia, podobnie jak dusza potrzebuje ciała, czyż potrzeba ta nie mogłaby wytworzyć więzi z kimś, kto miał to szczęście, wcale go nie pragnąc, podczas gdy ja – pozbawiony szczęścia - go pragnąłem?

On, młody, silny, bez środków, lecz pełen energii, mógł cieszyć się tym słońcem i tym morzem. Ktoś starszy, kto przyzwyczaił się już do życia na uboczu świata i jakby poza społeczeństwem, mógł cieszyć się tym jedynie biernie. Nawiedzać go będzie pokusa wyrzeczenia.

Później wszystkie postacie, które Albert Camus stworzył, głosić będą niepokromione pragnienie życia: Obcy, Maria z „Nieporozumienia”, Kaligula. Zderzać się będą one z najtrudniejszymi przeciwieństwami, ale nic nie pokona ich zaciekłości. Nawet paralityk z „La Mort heureuse” (Śmierci szczęśliwej), całkowicie niezdolny do normalnego istnienia, wygłosi pochwałę życia bez zastrzeżeń i poradzi swojemu młodemu przyjacielowi, aby go zabił w celu zdobycia leżącego w zasięgu ręki majątku. Umrze tak, jak sobie tego życzył, nie wypowiadając jednak, jak Le Poittevin, słów: „Zamknijcie okno, jest tak pięknie!”. On mógłby – z tego samego powodu - powiedzieć inaczej: „Otwórzcie okno, jest tak pięknie!”.

Wielki umiar – wielka prostota w upodobaniach - mało potrzeb.

Kiedy jedliśmy wspólnie w restauracjach, Camus nie zamawiał dużo. Prawdą jest, że głównym jego posiłkiem był posiłek wieczorny. Rano pisał, po południu wypełniał swoje obowiązki, wieczór przeznaczal na rozrywkę. W rezultacie poprzestawał na małym (to nie znaczy na niewielkim). Luksus, zabawa, tak, ale nie codziennie. Nigdy ilość ani jakość (komfort) dla nich samych.

Kiedy pociągi miały trzy klasy, Camus jeździł drugą. W równym stopniu nie życzyłby sobie pogrzebu - w czasach, gdy nadal obowiązywały „klasy” – pierwszej klasy, jak i pochówku najskromniejszego (à la Victor Hugo), co w każdym przypadku oznaczałoby ostentację.

Za samolotami nie przepadał, korzystał z komunikacji lotniczej tylko z powodów praktycznych – na przykład, aby pojechać do Algierii. Długo walczył z uczuciem klaustrofobii, które wywoływał w nim samolot, a zwiększała choroba płuc.

Nie lubił szybkiej jazdy. Kiedy ktoś zaufany z Lourmarin ofiarował mu pomoc, że odbierze go z Awinionu (ponieważ pisarz zrezygnował z jazdy samochodem przez całą Francję na południe kraju), Camus odpowiadał: „Proszę kierować, ja popatrzę na okolicę, odpocznę, ale przede wszystkim proszę wolno jechać”. Z tym nie było problemu, ponieważ jego samochód, przyprawiony z Lourmarin, był to stary Citroën.

Jak widać, zatrzymałem się przy szczegółach dotyczących spraw i ludzi, naśladując w tym Montaigne’a i Plutarcha.

Gdybym odniósł się do wielkich idei uniwersalnych, przywołałbym charakter grecki, jeśli nie śródziemnomorski, takiej postawy pisarza: umiarkowanie, oszczędność środków, kontakt ze światem materialnym. Oliwki, szklanka wody, wielkie światło niszczące kolory.

Powiedziałbym więcej: umiar znający nieumiarkowanie, równowaga sił, zachowująca stale siły w pogotowiu, pogoda ducha wywalczona nad patosem, krańcowość solidnie utemperowana.

Jeżeli radość życia musi mieć jakąś granicę, to nie może być ona narzucona z zewnątrz, żaden autorytet nie powinien stawać pomiędzy naszym porywem a celem. Niech żaden cień nie przesłania nam słońca! Niech żadne poświęcenie nie jest nam przedstawiane jako zasługa! Na premierze „Le Soulier de satin” Albert Camus zwrócił się do mnie: „Osobiście nie jestem zwolennikiem takiej moralności!”.

Obietnicy życia wiecznego Camus przeciwstawiał (tym razem zapożyczył wyrażenie od Nietzschego) migoczący, chociaż stale obecny, płomień wiecznej żywotności.

Jedynym szczęściem jest szczęście ziemskie, jedynym życiem jest życie ziemskie. Uznajmy tę sentencję za punkt wyjścia, kiedy myślimy o Albercie Camusie, nie uważajmy jej natomiast za punkt dojścia.

VII

We współczesnym świecie istnieje bohater, którego nie znały ludy starożytne. Bohater większy od wszystkich mężczyzn, których słabościami pogardza, zdobywca wszystkich kobiet, których tajemne pragnienia ziszcza, marnotrawca i zuchwalec, który wyzywa Niebo wcale w nie nie wierząc. To Don Juan.

Albert Camus reżyserował (w Sali Bordes w Algierze) „Don Juana” Puszkina, wyreżyserował tam również „Prometeusza” Ajschylosa.

To spotkanie dwóch postaci, które przeciwstawiają się porządkowi nadnaturalnemu i nie akceptują zastanej moralności, można potraktować jako symboliczne. Nie mają niczego ponad sobą.

Posiadanie ognia, posiadanie kobiety. Ten ostatni mit, który do woli dominacji dodaje zaspokojenie pragnienia, bliższy jest naszej wrażliwości. Aliści główna przyjemność Don Juana jest ze swej natury nadal intelektualna. Mozart potrafił umiejętnie łączyć dumę i rozkosz. Camus stawiał ponad wszystkie utwory jego dzieła operowe, których z przyjemnością słuchał z płyt (koncerty nagrane w Anglii).

Myślę, iż Camus rozpoznawał się w Don Juanie, którego ponownie chciał wystawić w teatrze. Ale w jaki sposób odnajdywał się w nim? Jako wieczny poszukiwacz piękna oraz jako samotny władca „żyjący na pełnym morzu, zagrożony, na łonie królewskiego szczęścia”.

Jest sposób, aby wypełnić samotność. Teatr: pisanie sztuki, wystawienie, adaptacja, dekorum. Dla Alberta Camusa było to istnienie zwielokrotnione do nieskończoności, gdzie jego miłość do życia znajdowała satysfakcję w niezliczonych i różnorodnych lustrach, stanowiących istotę teatru. Pisarz mówił o tym lepiej niż ktokolwiek, rzeczą śmieszną byłoby źle powtarzać to, co on wyraził tak dobrze. Towarzyszyło mu silne przekonanie, że człowiek teatru jest pierwszym po Bogu. Wyrażał zadowolenie jedynie wówczas, kiedy sztuka całkowicie zgodna była z jego zamierzeniami. Uznawał ją i jej bohaterów tylko wtedy, kiedy zdolna była żyć własnym życiem, jakby w siódmym dniu stworzenia. Jeżeli sam grał w przedstawieniu, to respektował bardziej niż ktokolwiek reguły gry, która była, chcąc czy nie chcąc, zaledwie grą szachów na szachownicy. Jednak w tym samym czasie zachowywał rezerwę, którą dostrzegałem zaledwie u naprawdę nielicznych aktorów, umożliwiającą mu, jak i im, niepodkreślanie niczego, pozostawanie niejako poza graną rolą, ze swoim dystansem, z gestami jak najbardziej oszczędnymi. Nawet wówczas dawało się odczuć – i jakby wbrew niemu samemu - to oddalenie, które tak mocno w nim uderzało. Nawet będąc w środku jakiejś akcji, w której brał udział, był jednocześnie od niej oddalony.

Prawie nikt nie może zresztą pochwalić się, że znał go w pełni. To nie znaczy, że Camus nosił maskę, jak aktorzy greccy. Po prostu zachowywał się stosownie do okoliczności, niczego przy tym nie ukrywając. Życie zmuszało go do obserwowania rzeczy i ludzi w odpowiedniej kolejności. Jedni nie znali drugich. Jego sposób życia dzielił się na segmenty, które nie były rozdzielone murem lecz przegrodami. Prawdą jest, że pisarz prowadził życie złożone, z tym zastrzeżeniem, że taki a nie inny model życia nie jest nieporównywalny z innym. Ktoś słabszy może próbowałby to ukrywać. Gdyby była taka potrzeba, Camus stawiałby czoła przypuszczeniom i podejrzeniom. Krótko mówiąc, szczerze brał udział w grze, występując jednocześnie w wielu rolach.

W tym kontekście teatr jest wzorcowym miejscem wolnej ekspresji. Wolność ta ograniczona jest jedynie dobrowolnie przyjętymi konwencjami. W innych dziedzinach spotyka się nieskończenie więcej przeszkód. Możliwe, że są one mniej ważne niż te przyjęte z góry, ale są bardziej nieznośne, ponieważ uzależnione od tysiąca przypadkowych przyczyn, które nie mają nic wspólnego z podstawowym tematem. Drobne przeszkody mogą zepsuć najbardziej wspaniały plan, a przecież normalnie nie powinny w ogóle się liczyć. W teatrze, jak w sporcie, w każdym razie przynajmniej w klasycznym teatrze i sporcie, jest inaczej: gra powinna być prowadzona zgodnie z regułami. Albert Camus, który był zwolennikiem rozdziału gatunków, tak właśnie rozumował. Oczywiście jest wiele możliwych niepowodzeń, gracz może odnieść kontuzję, aktor zachorować, ale skoro pole działania - ograniczone, a wypadki przewidywalne, przypadek należy uznać za możliwy jedynie w świecie zewnętrznym. Wynika z tego, że warto się zaangażować.

Biorąc pod uwagę taki punkt widzenia, Albert Camus był graczem. Graczem, którego polubiłby Nietzsche.

Dla człowieka miłość do życia zawiera w sobie umiłowanie ryzyka, a dla artysty jest to uczucie do ryzyka wkalkulowanego.

*

Albert Camus interesował się nade wszystko teatrem, teatr go zniewalał. To, co napisał o tym w „Micie Syzyfa”, odpowiada jego głębokim przekonaniom.

Camus pisał dla teatru, który był „jednym z miejsc na świecie, gdzie byłem szczęśliwy”. Sztuka teatralna to „historia wielkości opowiedziana za pomocą ciała”, „metoda uczynienia prawdopodobnym tego, co jest prawdziwe”, możliwość „życia swoimi marzeniami”, zarazem ani nie wyrzekając się ich, ani nie poddając się im do końca.

W Algierze Camus był dyrektorem zespołu i reżyserem, autorem i aktorem. W Paryżu było to niemożliwe. W 1956 roku pojawiła się plotka, że Camus chce zostać profesjonalnym aktorem. W tym czasie powiedział: „Po prostu ciągnie mnie do kina. Chciałbym zagrać rolę szefa nocnej knajpy, który marzy o tym samym. Jeden z aktorów z „Requiem pour une nonne” (Requiem dla zakonnicy) będzie kręcił film i da mi małą rolę. Wymyślił dla mnie pseudonim z mojego i Faulknera imienia: Albert Williams.”

Camus bywał na przedstawieniach – nie na wszystkich oczywiście premierach, lecz na takich, które szczególnie go interesowały, np. na „Henryku IV” Pirandella, gdzie grał Vilar, na „Płatonowie” Czechowa, gdzie występował ten sam aktor. Camus uważał, iż w tej ostatniej sztuce było drugie rozwiązanie akcji dramatu: Płatonow został otruty przez Annę Pawłową, bogatą wdowę, i nikt tego się nie domyślał oprócz doktora, który – aby przerwać jazgot zebranych kobiet – wystrzelił z rewolweru w powietrze, mówiąc: „Płatonow nie żyje”. Był to dobry pomysł. Poza tym świetna jest wypowiedź Płatonowa w przedstawionym zakończeniu, kiedy sam bohater zadaje pytanie „Dlaczego?”.

Albert Camus bardzo pragnął mieć swój własny teatr. Dowiadywał się, ile jest w Paryżu małych teatrów.

Malraux ofiarował pisarzowi objęcie kierownictwa nad Comédie – Française, jednak Camus odmówił uważając, iż ze starego nie można zrobić nowego (teatru). Camus wracał do Paryża 4 stycznia 1960 r. dlatego, aby sprawdzić, na jakich warunkach będzie mógł zostać dyrektorem kolejnego teatru zaproponowanego mu przez Malraux.

Ze wszystkich sztuk Alberta Camusa „Kaligula” zyskał największy i najtrwalszy sukces. Jeśli chodzi o adaptacje, to podobny sukces odniosło „Requiem dla zakonnicy” Faulknera. Nie mogę jednak przestać myśleć o tym, iż to właśnie ta sztuka była dyskusyjna. Camus stale z melancholią twierdził, iż żadna z jego własnych sztuk nie odniosła

prawdziwego sukcesu. (Sztuka „Les Possédés” [Biesy] grana w lutym 1959, przy użyciu znacznych środków finansowych, przyniosła sukces w trzy lata później).

Albert Camus zadawał sobie sporo trudu, pracując nad adaptacjami. Na przykład w „Requiem” scena wyznań, która trwa trzydzieści osiem minut, jest poważna i patetyczna. W tej samej scenie zresztą pada jedno imię kryminalisty (Poppie), które - jako zbyt podobne do Popeye’a – zostało zmienione. Ale przede wszystkim z końcowej sceny w więzieniu (Camus zgadzał się, że była ona zbyt felietonowa) pisarz wyciął trzy czwarte oryginału i osłabił morał, jakim było „przesłanie” Faulknera i to, co z nim się wiązało. Murzynka, zamiast nie wiadomo ile razy przywoływać imię Jezusa, posługiwała się peryfrazą „brat morderców”, „towarzysz prostytutek” itd. Jej postać specjalnie grana była przez Rosjankę, a nie czarnoskórą kobietę. Strażnik został dodany, aby uwypuklić kwestię rasową.

Albert Camus uprosił włoską sztukę „Un cas intéressant”, w której zmniejszył liczbę pobyków chorego bohatera i... pięter w szpitalu.

Adaptacja „Biesów” okazała się wielką pracą. Camus postanowił tym razem trzymać się bardzo skrupulatnie tekstu, i to nie dlatego, żeby uniknąć tendencyjnej krytyki, lecz dlatego, że uznał, iż sam autor dokonał jakby własnoręcznie cięcia. (Mimo wszystko trzeba było je zrobić...). Bardzo podziwiał efekty niespodzianki polegające na przykład na tym, iż zamiast osoby zapowiedzianej wchodzi inna... Korzystał sporo z tego typu pomysłów, które znajdował w powieści...

*

Obok teatru Camus od młodości równolegle uprawiał dziennikarstwo. O tym zawodzie miał wysokie mniemanie, co docenić mogli liczni czytelnicy jego anonimowych artykułów w „Combat”. Zapraszał przyjaciół do współpracy, jak na przykład Jacques’a Lemarchanda. Mnie również dał okazję do wypowiedzenia się na bliski mi temat, czyli o malarstwie współczesnym, tak jak je widzą i tworzą sami malarze.

Każdy człowiek ma swoje możliwości i swoje ograniczenia. Nie pisze się książek, jakie się chce – to stara prawda. Nie kocha się tego, czego się pragnie. A przeszkody, jakie się napotyka, jeśli nie są barierami nie do przekroczenia, są najlepszą pomocą w twórczości. Poznać swoje granice i wyciągnąć z tego korzyść, oto tajemnica wielkich artystów.

Albert Camus nie był nieczuły na inne dziedziny sztuki poza literaturą, ale był tak bardzo wymagający, jeśli chodzi o twórczość literacką, że cały czas i wszystkie swoje myśli poświęcał pisarstwu. W niewielkim więc stopniu pozwalał sobie na wypadki na inne tereny. Pomijam tu jego teksty o Nietzschem i o muzyce, które opublikował jako bardzo młody człowiek w piśmie „Sud”, ponieważ to głębokie studium nie było jeszcze w wystarczającym stopniu osobiste. Jeśli chodzi o sztuki plastyczne, tak ważne w tamtych czasach we Francji, nie wypowiadał się za wiele, chociaż interesował się artystami.

Dominujące po wojnie malarstwo abstrakcyjne nie mogło za bardzo pociągać kogoś, kto zawsze uważał, iż należy wychodzić od natury i że sztuka polega na przemianie, a nie na wyobraźni. W konstrukcji architektonicznej, której autorem był rodak pisarza Jean de Maisonseul, całkowicie zresztą skapanej w śródziemnomorskim świetle, pisarz dostrzegł wizję pokrewną własnej.

Dla Camusa forma (tak jak dla Starożytnych) identyczna była z pięknem. Powiadał, że gdyby nie był pisarzem, to chciałby zostać rzeźbiarzem i to przekonanie wpływało na niektóre jego wielkie przyjaźnie.

Jest rzeczą zrozumiałą, że Camus lubił malarstwo Balthusa. Prawdziwi malarze, pisał w tekście jemu poświęconym, to tacy malarze, którzy umieją uchwycić swojego modela w jednej piątej sekundy. Podczas gdy pejzaże, twarze, przedmioty w sposób naturalny przed

naszymi oczami przepływają „wszystkie postacie z wielkiego malarstwa przekonują nas, iż przed chwilą znieruchomiały i że dzięki cudowi sztuki nadal są żywe, nie przestając być nietrwałe.” Balthus nie deformuje natury, on ją petryfikuje. Czyż nie działa jak rzeźbiarz? Obydwaj mają wspólną cechę: zatrzymują to, co jest w ruchu i co wydaje się nam stale wymykać. Oni to wydobywają.

Ideał statyczny odziedziczony po Grekach, humanizujący figurę geometryczną i liczbę, to ideał, który można ośmielić się nazwać antropomorficznym bez obawy, że odejmiemy mu się jego szlachetność. Można spróbować określić go w kilku zdaniach: „Kształt bliski sercu, oto co prawdopodobnie stanowi duchowość Śródziemnomorza. Przestrzeń? To schodząca linia ramienia, owal twarzy. Czas? To bieg młodzieńca z jednego końca plaży na drugi...”

VIII

Wydaje się, że mieć poglądy jest uznanym przywilejem jedynie profesjonalistów w danej dziedzinie wiedzy: filozofów, ekonomistów i innych. Atoli jest inna kategoria ludzi, których refleksja wynika z długiego i trudnego doświadczenia wewnętrznego. Ich poglądy nie są owocem studiów, chociaż mogą się na nich opierać, ale głębokich uczuć. To oni wprowadzają w czyn swoje idee, podczas gdy ci pierwsi je wyrażają bez konsekwencji dla własnego życia. Albert Camus należał do tych ludzi, którzy mogą mieć wielki wpływ na młodych oraz na tych, którzy poszukują przeżytej prawdy.

Esej był dla pisarza środkiem wyrazu tego rodzaju prawdy. Pewnego lipcowego dnia w 1951 r., tuż przed wyjazdem na wakacje z rodziną do Le Chambon-sur-Lignon, Camus o tym mi opowiadał. Myślał wtedy o nowym eseju, który miał się nazywać (przynajmniej taki był pierwszy tytuł, jaki mu przyszedł do głowy) „Le Mythe de Némésis”. Miał on stanowić trzecią część tryptyku, którego pierwszym członem byłby „Mit Syzyfa”, a drugim „Człowiek zbuntowany”. Esej ten miałby dotyczyć tego, co chrześcijaństwo zyskało, a co straciło w porównaniu z antyczną kulturą grecką. Nigdy w historii ludzkości nie było takiego zawirowania, takiej kapitalnej zmiany. Jak taka nowa wrażliwość, zupełnie różna od poprzedniej, mogła się pojawić?

- Osobiście uważam, że hellenizm jest mi najbliższy. A jeśli chodzi o samo chrześcijaństwo, to bliższy jest mi katolicyzm niż protestantyzm. Do Biblii mam dystans z powodu jej „antynaturalizmu”.

- Mimo wszystko jest ona panu bliska, biorąc pod uwagę pański bunt przeciwko niesprawiedliwości i znaczenie humanizmu...

- Tak, ale uważam, że trzeba buntować się także po to, aby osiągnąć szczęście na ziemi, a nie tylko po to, aby zlikwidować niesprawiedliwość. Trzeba uprawiać mądrość życia w tej chwili, a nie potem i kiedyś...Dosyć lubię niezmienną (statyczną) stronę hellenizmu. To nie przez przypadek wybrałem na pracę dyplomową temat, który odnosi się do tego okresu (neoplatonizm). Zawsze się tym interesowałem.”

Rozmowa zeszła na temat Simone Weil. Powiedziałem, że niedawno skończyłem czytać jej wydany pośmiertnie „Lettre à un religieux” (List do zakonnika), w którym - jak mi się zdawało - Weil zarzucała chrześcijaństwu, że nie jest filozofią. Podziwiając ją jednocześnie uważałem, iż jej idee są zbyt synkretyczne: chcą pogodzić rzeczy nie do pogodzenia.

- W każdym razie szukała czegoś o wiele większego niż chrześcijaństwo i księży naprawdę niesłusznie ją anektują, gdy w zbiorze jej wykładów o Platonie dla katolickiego kółka jako podtytuł dodają „Intuitions préchrétiennes” (Intuicje prechrześcijańskie). Dla niej prawdziwe było coś przeciwnego: samo chrześcijaństwo to zaledwie odgałęzienie jakiejś większej prawdy.

To, co Albert Camus cenił najwyżej u Simone Weil, to było do końca przeżyte doświadczenie życia zgodnego z ideałem, były to stawiane samej sobie wymagania i stanowczość w ich realizacji (które odnosiły się i do niego). To, co oddalić mogło go od niej polegało na tym, iż Camus nie odczuwał pokrewieństwa z ludźmi, którzy nie chcieli być szczęśliwi.

Albert Camus „spotkał się” z Simone Weil w „Dżumie”, gdzie nauka i religia przedstawione zostały jako antagonistki. S. Weil napisała w „L’Enracinement” (Zakorzeniu): „U chrześcijan absolutny rozbrat pomiędzy duchem religii a duchem nauki, a jeden i drugi ma swoich zwolenników, nieustannie powoduje w duszy głuchy i niewyznany ból”.

Tym razem, skoro mówiliśmy już otwarcie o religii, wyraziłem - nawiązując do „Człowieka zbuntowanego” – swoje zdanie: - Nie pokazał pan nowatorskiej roli chrześcijaństwa.

- Tak, to prawda, nie pokazałem, pomiąłem szczególnie rolę Ewangelii. Nie mogłem jednak powiedzieć wszystkiego. Miałem tylko jedną rzecz do powiedzenia...Jeżeli chodzi o chrześcijaństwo i przede wszystkim judaizm, nie zająłem się prorocstwami, dogmatami wiary, eschatologią itd. Rozumiem jednak dobrze mądrość Ewangelii... W chrześcijaństwie podoba mi się to, co bliskie jest hellenizmowi.

*

Rzadko rozmawialiśmy na tematy religijne. Zawsze odnosiłem wrażenie, że Camus nie tyle był wrogo nastawiony do tego wszystkiego, co wiązało się z religią, ile był z zasady niezłomny. Stanowisko swoje zajął: zło jest nie do zaakceptowania, a istnienie Boga wszechmogącego powiększa jeszcze ten skandal. Życie po śmierci nie ma żadnego znaczenia. W imię Boga i tego przyszłego życia Kościoły zatruwają życie tu i teraz. Z chęcią podpisałby się pod słowami Bayle'a: „Dwa życia, to za dużo. Starczy jedno”.

Poza tym ten człowiek „dialogu” był człowiekiem monologu, jak wszystkie wielkie umysły. Aby być bardziej precyzyjnym: monologu dialogowego. Żeby jakaś wypowiedź do niego dotarła, musiała być wypowiedziana z całym życiowym zaangażowaniem. W ten sposób jej wartość ujawniała się w praktyce. Dopiero wtedy Camus rozważał za i przeciw. Jeśli nie zostałby przekonany, to na pewno byłby wstrząśnięty - powstałby wewnętrzny dialog, który doprowadziłby go do podjęcia zdecydowanej lub przynajmniej częściowej odpowiedzi. Wcale nie był niedostępny, jakby sugerował mój opis Camusa jako niezłomnego. Rozmówca, aby do niego dotrzeć, musiał wyrzucić na nim wrażenie, że przemawia przez niego wewnętrzna moc, wynikająca z niewzruszonego przekonania. Zdarzało się, że najlepszy przyjaciel nie potrafił poważnie porozumieć się z pisarzem na niektóre ważne tematy, jeśli Camus nie odczuł w jego słowach lub poglądach tej siły, która przynajmniej mogłaby go skłonić do refleksji. A szybko w tym się orientował. Pewnego dnia zwrócił się do mnie: „Poznaję z pana tonu, czy wierzy pan w to, co mówi, czy nie.”

Albert Camus miał wiele szacunku dla czcigodnego księdza X... z powodu jego nieugiętych przekonań religijnych. Mówił o nim: „ To groźny misjonarz”. Gdy zwracał księdzu uwagę, iż zgodnie z jego przekonaniami Nietzsche musiał być w piekle, ojciec gwałtownie zaprzeczał: „Ach, nie wierzę, że Nietzsche nie jest w niebie”. „Ksiądz X... jest człowiekiem wierzącym nie ze słabości, lecz z nadmiaru życia. Zazwyczaj wierzy się przez słabość”.

Nie jest więc możliwe mówienie o poglądach religijnych Camusa w sposób raz na zawsze rozstrzygający. W kwestii zaświatów raczej też stawiał pytania niż zaprzeczał. Podobny był w tym do Hamleta na cmentarzu; natomiast odwrotnie niż tamten nie spoglądał z życzliwością na tę ostateczną i irytującą rzeczywistość. Ze wszystkich sił ten chorowity człowiek chciał być zdrowy. Jako ubogi młodzieniec pragnął żyć w luksusie, w prawdziwym luksusie. W każdym razie to dziecko urodzone pod słońcem zawsze zmierzało do tego, aby żyć w słońcu.

*

Camus dzieciństwo spędził w kraju, w którym – pomimo pewnego ubóstwa – cieszył się szczęściem, jaki daje klimat. Cywilizacje przemysłowe nie doceniają takiego szczęścia, którego jak najbardziej potrzebują. Camus mógł biegać ze swoimi kolegami wzdłuż morza, kąpać się do woli latem, brać udział w polowaniach w górach, które jego wuj urządzał w

niedziele. Nie chcę wyolbrzymiać tych przyjemności: ten, komu brakuje środków, nie może cieszyć się bezustannie dobrodziejstwem powietrza, wody, słońca albo cieszy się tym nie w porę, podczas brzydkiej pogody, nie mogąc korzystać z wakacji, bez obrony przed letnim upałem, zimowym chłodem. Mimo wszystko nikt nie został pozbawiony czegoś w rodzaju błogostanu. Albert Camus powtarzał: jeśli poznałem ubóstwo, to nie poznałem nieszczęścia, które w innych krajach ciąży na ludziach, nawet na tych wolnych od niedostatku.

Na mozaice w Timgad przeczytałem: „Grać, polować, kąpać się, oto życie!”.

Imperatyw klimatyczny pozostał ten sam. Europejscy Francuzi zdumiewali się widząc, jak bardzo Francuzi z Afryki Północnej spieszyli się, aby cieszyć się bez zastanowienia życiem.

*

Ten prosty program (świat jest dobry, cieszymy się nim) zbija z tropu niektórych – bardziej wykształconych - czytelników. Uważają, że trzeba pójść dalej, drażnić tak głęboko, jak chwala się tym myśliciele niemieccy. Nie wyglądają oni na takich, którzy gustują w szczęściu, jakie ofiaruje światłość dnia. Bohaterowie Eurypidesa poznali to uczucie do tego stopnia, że jego utratę gorzko odczuli. A może po prostu wstydzą się tego, albo więcej – bardziej ich kuszą uroki jutra niż satysfakcja z radości dnia dzisiejszego.

*

To bardzo proste odczucie Natury nie szło w parze z uczuciem religijnym. Chrześcijańskie wychowanie Alberta Camusa nie miało wsparcia w rodzinie – jego despotyczna babka uważała, co kłóciło się z wychowaniem religijnym, że czas poświęcony katechizmowi jest czasem straconym; nieporozumienie z księdzem katechetą dopełniło reszty. Warto dodać jeszcze milczenie rodziny na tematy, które jej nie interesowały. Zresztą nic nie mogło przyciągnąć młodego człowieka, zafascynowanego sportem, następnie teatrem, czyli życiem we wszystkich przejawach, do religii, która - wbrew temu, że w krajach śródziemnomorskich nosiła cechy pogańskie - najpierw przeciwstawiała Niebo Ziemi, aby później połączyć je we Zmartwychwstaniu.

*

Oto co uznałem za ważne do powiedzenia na ten temat na początek – do tych podstawowych opinii należałoby jednak dorzucić, aby być sprawiedliwym, kilka słów uzupełniających. Będę jednak zmuszony porzucić dotychczasowy teren moich rozważań, dodając komentarze o myśli i dziele Camusa.

Do jego dzieła mamy dwa klucze: mit Moby Dicka i filozofię Simone Weil. Nie chodzi przy tym o to, że potrzebne są zrozumiałe klucze, aby rozszyfrować tę twórczość, która sama z siebie jest wystarczająco jasna. Skoro jednak sam autor nam je ujawnił, byłoby niestosownie z nich nie skorzystać. Podziw, jaki Camus miał dla Melville’a i dla Weil, podnosi jeszcze mocniej wartość poczucia tajemnicy i sacrum - poczucia, które wcale nie wyklucza rezygnacji z potrzeby buntu.

Albert Camus nie unikał problemu. Nawet jeśli bunt był niepotrzebny, to w jego oczach był szlachetny i konieczny, dopóki nie zostało mu przedstawione jakies wytłumaczenie.

Jeżeli chodzi o stosunek do Zła, Camus zmienił zdanie. Zachowując w pełni swoją „fiksację na zabójstwo” (jak sam mówił) i wewnętrzną brutalność, która ożywiała Kaligulę, pisarz (jak mi to powiedział w sierpniu 1947 r.) rozpoczął poszukiwanie „wartości

pośrednich, przeciętnych”, a nie absolutnej Negatywności. Niemniej bunt pozostał fundamentem moralności. W przypadku katastrofy, np. dżumy, ludzie powinni sprzymierzyć się przeciwko nieszczęściu. Pozostaje pytanie, w jaki sposób to uczynią.

Uważam, że wielkość Alberta Camusa najlepiej wyraziła się w takiej postawie.

Pisarz sam jednak uznał, iż istnienie wartości zakłada absolut. Wszelako dalej nie wiedział, na czym miałby zasadzać się taki absolut.

*

Albert Camus szukał – i nie tylko dla samego siebie, lecz dla wszystkich ludzi – zbawienia, czyli czegoś więcej niż szczęścia. Stąd duchowy charakter jego twórczości. Jednakże zbawienie to ma charakter ziemski. Z tego czysto ludzkiego przesłania nie wynika dzieło jakiegoś Zbawcy, ale kogoś, kto odkrywszy „receptę” – więc takie życie, które może zmniejszyć cierpienie ludzi – informuje o niej innych i świecąc przykładem staje się z kolei świętym (niewierzącym), to znaczy wcielonym przykładem, który porywa innych ludzi, aby i oni stali się ludźmi przykładowymi.

IX

Twórczość Alberta Camusa zawsze wywoływała liczne komentarze. Sam autor wykazywał pewną obojętność i nie interweniował nawet wtedy, gdy wydawały mu się one śmieszne. Zresztą bardziej podobały mu się analizy dziwaczne niż pedantyczne. Pewien krytyk podjął się rozpoznać we wszystkim, co pisarz napisał, symbole psychoanalityczne - słowo „mer” (morze) miało w rzeczywistości znaczyć „mère” (matkę), „Marie”, „Marthe”, „la mort” (śmierć). Camusa rozbawiła taka interpretacja, lecz nie zajął wobec niej stanowiska.

Denerwowały go natomiast sprzeczne opinie o jego talencie: „Kiedy opublikuję esej, to mówią, że jestem człowiekiem teatru, a kiedy publikuję powieść, to mówią, że jestem dobry w eseju itd.”... „Jaka męka to pisanie! Malarz przynajmniej, jeżeli <znajdzie> swój temat, może rozwinąć go prosto i szybko wykonać to, co ma w głowie”... – dodawał.

Zdziwiony byłem tym, iż nie był obojętny na przychodzące do niego listy. Osobiście odpowiadał na te, które pisali nieszczęśliwi ludzie. Doświadczenie powinno mu podpowiedzieć, że ludzie, którzy piszą do sławnych osobistości, nie zawsze zasługują na ich zainteresowanie. Wystarczał jednak jeden przypadek, aby tę regułę zakwestionować, a Camus nie należał do ludzi lekceważących wyjątki. Jego seria „Espoir” (Nadzieja) – nadzieja w wolną wolę ludzi żyjących na ziemi, a nie w los człowieka w zaświatach – o tym świadczy. Pesymizm był źródłem jego odwagi, rezerwa – szlachetności.

Camus był całkowicie bezinteresowny. Chwilami wydawało się, iż gra wręcz swoją bezinteresownością na pokaz. Nigdy nie zamykał swojego samochodu. „Nie lubię być nieufnym” – powiedział komuś bliskiemu, dodając: „W końcu nikt nie kradnie bez potrzeby”. Taka opinia, choć nie w każdym czasie zgodna z prawdą, generalnie była bardzo prawdziwa po Wyzwoleniu. Camus miał taki charakter i nie wstydził się go - zawsze wolał uchodzić za naiwnego niż przezornego.

Albert Camus nosił w sobie głęboko ukrytą ideę szczególnego zadania do spełnienia, o czym wszak nic nie mówił. Troska z tym obowiązkiem związana uwidaczniała się wbrew niemu i powodowała, iż brano go za człowieka poważnego, fanatyka sprawiedliwości i prawdy – co zresztą było słuszne – a co za tym idzie za człowieka surowego, wroga przyjemności, kontrolera sumień. To głębokie przeświadczenie dodawało jego słowom i utworom wielkiej wagi.

Ludzie, którzy go nie poznali, są jeszcze bardziej czuli na ten jego wizerunek moralny, bezpośrednio objawiający się określonym rodzajem ekspresji i uniemożliwiający takim słowom, jak „honor”, „wielkość”, pozostać pustymi słowami. Emfaza tłumaczy podniosłe uczucia jak i szlachetność języka. Powinno się umieć odróżniać od pierwszego wejrzenia, wychodząc od samego stylu, czy zabieg ten jest sztuczny czy prawdziwy, podobnie jak czyni to majster, stwierdzając z czego jest wykonana ściana. Nie potrzeba dodatkowych czynności do tego, aby osądzić słowa; nie trzeba też niszczyć ściany, aby dostrzec, jaka ona jest.

Albert Camus, z racji swojego pochodzenia, był w równym co najmniej stopniu związany z Hiszpanią, co z Francją, a jego sposób mówienia był z natury kastylijski. W przypadku każdej innej osoby prowadziłoby to do przesadnej afektacji, natomiast Camus podobny był w tym do Cyda Corneille’a.

Poza tym należy liczyć się z punktem widzenia pisarza, który w tym przypadku związany był z teatrem. Camus pisał myśląc o ostatecznym efekcie, jak powinien to czynić każdy artysta pragnący, aby jego głos był donośny, a gest znaczący, skoro utwór przeznaczony jest dla odbiorcy, który ma oczy i uszy. Zresztą stosował minimum środków, wybierając je tak, aby były jak najbardziej skuteczne.

W tym swoim wysiłku, aby być dokładnym i precyzyjnym w opisie, Camus pozostaje wiernym uczniem Greków, a wynikająca stąd prostota stylu koryguje przerosty, do jakich by doprowadził deklamatorski geniusz Hiszpanii (i Rosji) ze szkodą dla francuskiego (zawsze bogobojnego) gustu. Zresztą po stronie tego geniuszu leżało czyste źródło jego inspiracji. To dlatego Camus wrogi był mieszanii gatunków (podziwiając mimo to Szekspira oraz „Tête d’Or”): „Piszę stosując różne plany, aby uniknąć pomieszania gatunków”. To samo praktykował w życiu. Utrzymywał stosunki z różnymi ludźmi, którzy nic o sobie nie wiedzieli. Był z nimi taki, jaki powinien być. W przypadku gości, odwiedzających go w jego biurze, Camus starał się ich pozbyć, wiedząc iż straciłby czas. Kiedy jakiś odwiedzający upierał się, pisarz ustępował. Ktoś, kto by przybył z drugiego końca świata, aby go zobaczyć, gdyby nie został narażony na zwłokę wszelkimi możliwymi sposobami, jakimi dysponuje „osoba publiczna” (odpowiedź przez sekretarkę, nieprzyjmowanie nikogo, osobne, sekretne wyjście albo zastrzeżony adres), gdyby czatował przed domem od rana do nocy doczekałby się – niezwykle rzadkiej- szansy na „przetrzymanie”. Pisarza by nawet wzruszył taki upór i dojrzałby w nim dowód uczucia, a nie tylko świadectwo podziwu, co byłoby zresztą bardziej prawdopodobne. Niedogodnością tego typu sławy pozostaje to samo, co w karierze politycznej czy dyplomatycznej: nie wybiera się już samemu przyjaciół, nie można nawet odwiedzać kogo się chce, jest się więźniem własnych wyborców.

*

Na szczęście Albert Camus potrafił zachować miejsca, gdzie mógł żyć po swojemu. Myślę, że życie w sanatorium głęboko na niego wpłynęło, a oddalenie od zwyczajnego życia spowodowało, iż stało się ono nieco nienormalne...

Życie pełne przeżyć...takie miał życie. Prawie natychmiast został sierotą, potem nastąpiło biedne dzieciństwo. Kiedy wszedł w wiek młodzieńczy, zachorował, a choroba uniemożliwiła mu realizację jego marzeń o podróżach i w ogóle o życiu. Wypłynawszy kiedyś do Tunisu, zmuszony był przerwać podróż morską w Bougie, żeby powrócić jak najszybciej do Algieru na kurację. Nie uzyskał prawa do zdawania egzaminu agrégation, ponieważ otrzymał niekorzystny wynik badań lekarskich. W czasach, kiedy Camus musiał przerywać pracę, a nawet robienie czegokolwiek, jego droga życiowa była pełna wyrw. Dochodziły do tego kryzysy, które im gwałtowniej wybuchały, tym bardziej go deprymowały.

Dziwne w tym wszystkim było to, iż Camus nie sprawiał wrażenia chorego. Kiedy go poznałem był duży, barczysty i wyglądał tak, jakby go stworzono do kariery sportowej. Przejawiał zamiłowanie do gry w piłkę, co było naturalne w jego wieku. Zawsze namiętnie kochał życie, aż tu nagle ujrzał siebie skazanego na unieruchomienie: trzeba będzie uważać na siebie, kurować na wsi lub coś w tym rodzaju. Powroty do zdrowia i nawroty choroby następowały przemiennie. Tak jak szybko porywała go w swą toń choroba, tak szybko Camus wpływał na brzeg zdrowia – jego siła życia była niezwykle mocna.

Wzorem większości ludzi chorych autor „Obcego” mógłby znaleźć upodobanie w chorowaniu i zadomowić się w chorobie. Jednak Camus miał wielkie pragnienie ozdrowienia nawet za cenę nieroztropnych działań. W czasie młodości choroba mogła mu jedynie ofiarować zwolnienie od godzin biurowych oraz niekiedy umożliwić pracę za niego. Pod tym względem, jak powiadał, choroba tworzy warunki do życia jak w pałacu.

Choroba ponadto umożliwiła mu potrzebny dystans, aby nie akceptować gotowych idei, nie iść śladami wytyczonymi przez drugich, żeby zebrać się w sobie i samego siebie odzyskać, zgodnie ze słowami Seneki, który zaczął datować swoją filozofię od momentu zranienia, kiedy opuścił to zgromadzenie żywych - żywych, którzy nie wiedzą, dlaczego żyją ani jak powinni żyć, którzy nawet nie mają świadomości życia. Pascal i Nietzsche zawdzięczają swoją wielkość, a ich myśl zawdzięcza swoją wstrząsającą moc temu długiemu

pobytowi w krainie Cieni. To dlatego, że filozofowie ci mieszkali tak długo w innej krainie, teraz wstrząsają nami, którzy znamy zaledwie połowę realnego świata.

Sztuka Dino Buzzatiego „Un cas intéressant”, którą Albert Camus przetłumaczył, wyreżyserował i skrócił, aby dodać jej więcej dramaturgii, przedstawia odwrotną stronę naszego, widzialnego świata. Zdrowi ludzie wyglądają dziwnie w oczach pacjentów, patrzących na nich z okien szpitala. Pomiędzy dwoma obozami wznosi się nie do pokonania bariera oraz króluje totalne, wzajemne niezrozumienie. Camus musiał często odczuwać to wrażenie dziwności, które było udziałem mieszkańców „Czarodziejskiej Góry” Manna. Dotyczy to również uczucia solidarności, łączącego tych, których dotknęło to samo zło (dlatego pisarz odpowiadał osobiście na wszystkie listy wysyłane z sanatorium). Tym razem nie był to tylko patos wielkiego samotnika, ale patos towarzysza boju. Albert Camus był jednym i drugim.

Jak kiedyś powiedział: „ Nie mam powołania do choroby. Jakoś ją wykorzystuję, ale niedobrze... Mam już dosyć... Pracuję, ale resztką sił... Poza tym choroba stale budzi we mnie te negatywne siły, o których myślałem, iż są przynajmniej wyrównane...”

Jakie były to negatywne siły? Te wszystkie, które powodują i żywią bunt. O jaki chodziło rodzaj równowagi? O taki, który mógłby wykorzystać te siły do wyższego celu.

*

Zresztą łatwość, z jaką Camus poruszał się w życiu społecznym, umożliwiła mu zamykanie się w sobie. Autor „Upadku” kontaktował się z różnymi osobami, przyjmując postawę, która odpowiadała każdej z nich. Widziałem go, jak przyjmował u siebie kogoś z tego typu naturalnością, która komuś z zewnątrz mogła się wydać konwencjonalna, starając się, aby gość poczuł się - jak on sam - swobodnie. Camus nie odczuwał potrzeby wyrażania swoich intymnych uczuć, skoro - ze sporą dawką zimnej krwi i spokoju - raz na zawsze je zmaterializował. Dlatego w pewnych momentach – muszę powiedzieć, że bardzo rzadkich – w jego obecności odnosiłem wrażenie jakiejś zmiany. Zazwyczaj rozmowa z nim była wesoła, dowcipna, pełna humoru. Jego genialna, elastyczna natura ujawniała się w życiu i w twórczości.

Była w nim wielka samotność, która wszelako nie ciążyła mu wieczorami w Paryżu, kiedy udawał się w towarzystwie do teatru, korzystając z tego intensywnego życia, jakie znają ci, którzy po całodziennych zajęciach mają przed sobą wielkie, nocne wyprawy pełne swoistej fantazji. Mówię tutaj o życiu paryskim (a nie w Algierii, gdzie fikcja nakładała się na realność i gdzie wieczór spędzony w teatrze nie różnił się od popołudniowej kąpieli w morzu).

Jak to zdarza się tym wszystkim, którzy prowadzą podobne życie, a jeszcze bardziej jemu niż komukolwiek innemu, żywił on niekiedy tajemne marzenie: zamieszkać w nieznanym miasteczku, w hotelu, gdzie byłby obsługiwany w swoim pokoju. Wykluczało to pewien rodzaj życia towarzyskiego – tak jak w opowiadaniu „Jonasz”. To dlatego, wypełniając wolę rodziny i przyjaciół, starał się chronić swoją samotność, która jest przyczyną cierpień, a jednocześnie nieodzowna w twórczości.

Bez tych kluczy pewne rzeczy mogłyby pozostać niewyjaśnione.

Nade wszystko Camus dążył do tego, aby pozostać wolnym. Pragnął wolności. Zaakceptować prezent dobrowolnie, oznacza wyrzec się kawałka swej wolności. Camus odmawiał przyjęcia, chociaż nie chciał sprawiać przykrości donatorowi ofiarowanego mu prezentu, bo wyobrażał sobie, iż wiązałoby się to z jakimś – nawet jeśli niewielkim – zaangażowaniem. To nie była jego generalna reguła, raczej linia postępowania, jaką sobie wyznaczył, odpowiadająca jego charakterowi. Nie chciał spowiadać się ze swoich czynów nikomu. Tego też nie można zbyt generalizować, ponieważ w pewnych krytycznych okolicznościach autorowi „Dżumy” - jeżeli nie pragnął usprawiedliwić się po działaniu –

zdarzało się prosić o radę przed działaniem. Zawsze jednak Camus źle znosił więzi, które każdy człowiek w życiu nabywa, obowiązki, które musi podjąć, uroczystości, na których musi być obecny, wizyty, które musi odbyć lub przyjąć, spotkania zawodowe i samo prywatne życie wreszcie w całych swych codziennych zobowiązaniach. Camus wystarczająco dobitnie wyraził te doznania, tak że nie jest potrzebna dalsza ich prezentacja.

*

Jedną z charakterystycznych cech twórczości Alberta Camusa jest jej dotarcie do wszystkich czytelników. To rzadka jakość. Cechą popularnych autorów jest wzruszanie szerokiej publiczności: na przykład Victor Hugo, Honoré Balzac. Styl ich jednak jest niedbały. Czyż nie lepiej byłoby wziąć za przykład pisarzy rosyjskich i wybrać Tołstoja, który jest twórcą zarazem wyrafinowanym i popularnym?

Bardzo dobrze wiem, dlaczego dykcja Alberta Camusa jest nośna. Nie ma w niej niedomówień, przemilczeń, a parte, mezza voce. Przede wszystkim Camus otwarcie mówi to, co ma do powiedzenia. Nie kręci. O pisarzu, który skarżył się, że jest doceniany zaledwie przez grupkę czytelników, autor „Dżumy” powiedział: „Nic dziwnego. W drugim zdaniu odwołuje to, co zapowiedział w pierwszym.”

Następnie Camus całkowicie oddaje się temu, co głosi: nie przemawia w imieniu jakiejś części samego siebie, nie zwraca się do ludzi dlatego, że oni to oni, a on to on, mówi jak człowiek do człowieka, wyraża swoje najgłębsze pragnienia i potrzeby.

Sposób, jaki stosował, aby iść do końca swoich myśli powodował, że rozumiany był przez wszystkich, tym bardziej, że szukał nie metody autoekspresji, lecz wyrażenia – jak to czynili klasycy – prawdy obowiązującej wszystkich, a nie jedynie swojej prawdy. Być może ten podwójny symbol – absolut w ekspresji, absolut w idei – spowodował (wbrew niemu samemu), iż zaczęto uważać go za proroka i zgłębiano jego książki podobnie jak Biblię.

Gdyby zresztą Albert Camus kiedykolwiek wierzył w „misję”, to jego koncepcja obrałaby szczególnie wygląd: pisanie, słowo, wszystko, co było środkami ekspresji, miało tym większe dla niego znaczenie, ponieważ kultura była dla niego objawieniem. Żyjąc w skromnym środowisku (przesadza się jednak z jego biedą) pomiędzy milczącą matką, głuchym i mało komunikatywnym wujkiem a babką, która rozprawiała tylko o potrzebach dnia codziennego, Camus musiał być zaskoczony, następnie olśniony, bogactwem życia ukazywanym w książkach. Poza tym biblioteka publiczna, szkoła, liceum, uniwersytet z pewnością przyczyniły się do otwarcia przed nim zachwycającego świata.

Zachwycającego? Nie, to określenie nie jest odpowiednie. Lepiej byłoby powiedzieć: ziemia obiecana, albo jeszcze lepiej – odkrycie typowo humanistycznej myśli o kondycji człowieczej, która była jego własną. Miliony ludzi trudziło się nad tym zadaniem, do którego zakończenia było jeszcze daleko. Camus mógł więc skorzystać z ich doświadczeń, mógł zauważyć, iż ich doświadczenia są podobne do jego własnych albo zapytać, dlaczego są inne. Krótko mówiąc nie czuł się już sam, ponieważ solidarność ciał jest niczym w porównaniu z solidarnością umysłów. Objawienie to było zarazem wezwaniem: uczęszczanie do bibliotek, do muzeów, teatru, na koncerty było zachętą do twórczości, do robienia czegoś, co nie byłoby tylko prostą pracą nakładającą się na inne prace. Camus otrzymał swoją, jak mówi Michelet, „biblię ludzkości”.

Ponadto wielki szacunek – powinno się powiedzieć: cześć – dla tego, co nazywa się dzisiaj kulturą, może powodować niezwykle ważne konsekwencje w kimś, kto nie wychował się w środowisku zwanym kulturalnym, kto nie obcował u siebie z żywą książką. Taka osoba ma więcej szans niż inni, aby nie traktować spraw duchowych w sposób przedmiotowy, przerzucając się od jednego autora do drugiego powodowana kaprysem lub klasyfikując ich według etykietek i ustawiając na półce zgodnie ze swoimi intelektualnymi potrzebami.

Kiedy ktoś za często bywa w środowiskach literackich, kiedy poluje na dyplomy, łatwo może stać się dyletantem lub molem książkowym. Jeśli uda się komuś uniknąć tych dwóch niebezpieczeństw, to ma szansę na znalezienie w kulturze nieporównywalny środek do podniesienia samego siebie oraz innych.

Taki sposób widzenia prowadzi do rygoryzmu językowego, co z kolei sugeruje obecność wszelkich postaci rygoryzmu w innych dziedzinach. Tego typu postawa nie może być dobrze zrozumiana przez tych – jak ja – którzy przywiązują zaledwie względną wartość do języka ludzkiego, a nawet do myśli ludzkiej, ponieważ ich punkt widzenia jest odmienny.

W rezultacie wydaje mi się naprawdę bardzo trudno wyłuskać jakąś jedność ze złożonego charakteru Alberta Camusa. Prorok? Nie, nie chciał nim być i nie czuł się powołany do tego. Przewodnik duchowy? Tak, ale jakby wbrew sobie, ponieważ czując głęboko to, co człowiek może znieść w bólu i samotności, nie potrafił uwolnić się od uczucia, że „inni” byli nim samym w pewien głęboki sposób i że on sam różnił się od nich jedynie bezlitosną przenikliwością, przenikliwością, która rodziła w nim współczucie. To ostatnie słowo jest dzisiaj bardzo zużyte. Jeśli rozumieć je w głębokim i oryginalnym znaczeniu, to nie znajduję w tym miejscu lepszego określenia.

Albert Camus zdolny był więc nie tylko przekonać umysły, lecz i poruszyć serca. Tej władzy, jaką zyskał dzięki wiwisekcji natury ludzkiej, towarzyszyło coś, czego bardzo brakowało innym wielkim osobowościom i czego nie można nazwać inaczej jak łaską. Tak, to było coś w rodzaju łaski, umożliwiającej mu przebywanie pośród ludzi i nadającej mu bezdyskusyjny prestiż w swoim środowisku. W jego zachowaniu przejawiała się elegancja manier, swoboda w obejściu, mieszanka nonszalancji i siły w postawie – to wszystko powodowało, iż Camus, chcąc nie chcąc, niejako narzucał swoją obecność. Żeby być przywódcą, musiał się tylko pojawić. Wcale nie upierał się, aby nim być. Po prostu tak było.

X

Aby mówić o Albercie Camusie, należałoby przede wszystkim mówić o Algierii i to nie dlatego, żeby „wy tłumaczyć go” przez jego własny kraj, lecz dlatego, że jego osobowość można zrozumieć jedynie biorąc pod uwagę jego ojczyznę.

Kiedy przybyłem do Algierii, natychmiast - jeszcze przed nawiązaniem znajomości - uderzyła mnie energia jej mieszkańców. Często cytowane zdanie Alfieriego wydaje mi się stosowne à propos Algierii: „Istoty ludzkie rosną tu bardziej dorodnie niż gdzie indziej”.

Tak, moje algierskie wrażenia były właściwe. W porównaniu z tym odkrywanym krajem Francja jawiła mi się jako kraina, gdzie wszystko miało, oczywiście, swoją dobrą jakość, lecz wykonane zostało z gorszego materiału. Potrzebny był jej nowy szczep, a bogatszy klimat i mieszanka krwi mogły go zapewnić. Wiem dobrze, że kiedy wraca się z krajów zwanych niegdyś „ciepłymi” to w Europie wszystko wygląda zbyt ubogo. Algieria nie jest oddalona od Europy, jednak klimat i wegetacja są już tam zupełnie inne.

Często słyszałem, jak Albert Camus gromił nędzę moralną Francuzów z metropolii. Małe ambicje i małe kalkulacje! Brak szlachetności i skąpstwo we wszystkim! On sam mógłby, gdyby to była inna epoka, otworzyć okno i wyrzucić swoją sakiewkę biednym. W ten sposób odzywał się w nim nie tyle temperament algierski co hiszpański. Oba zresztą nie były nie do pogodzenia, wręcz przeciwnie.

Taka szlachetna krew w rzeczywistości może ujawniać dwie postawy: po pierwsze dobry i prosty temperament, który napawa zaufaniem, chociaż może także szokować; po drugie – szlachetność charakteru i wielkość uczucia. Autor „Upadku” był na to bardzo czuły. Na przykład w opowiadaniu „Wiarołomna żona” Arab, człowiek pustyni, wyniesiony jest ponad małego handlarza pochodzenia europejskiego, który zresztą stanowi już część tamtejszego ludu.

W rzeczywistości w takich przypadkach nie chodziło o jakąkolwiek konfrontację narodową jako taką. Liczyła się jakość. To samo kryterium Camus stosował do krajobrazu – liczyła się jego wielkość.

Im więcej Albert Camus miał lat, tym bardziej myślał o swoich korzeniach. To naturalne. Poszukiwał śladów przeszłości. Znajdował je i jakby nie znajdował, ponieważ była to przeszłość prywatna, nie mająca nic wspólnego z przeszłością historyczną. Wyglądało to tak, jakby rodzina, z której pochodził, kraj, w którym się urodził, pojawiły się niejako same z siebie. Stąd ta dwuznaczność.

„Pierwszy człowiek” to prawdopodobnie człowiek prymitywny, niewykształcony, ale również i przede wszystkim człowiek czysty, obdarzony przez Naturę pierwotną siłą. To człowiek, po którym prawdopodobnie wszystkiego można by się spodziewać: największego dobra jak i największego zła. Nic przeciętnego w każdym razie.

Przywiązanie Alberta Camusa do swojego kraju było absolutne. Jednym z powodów jego przyjaźni do mnie był fakt, iż ja również kochałem Algierię. Cytował moje wypowiedzi jako dowód na to, iż można kochać inny kraj niż ten, w którym się urodziło, że można zrozumieć inną mentalność, dostosować się do nowego klimatu.

*

Albert Camus jako jeden z pierwszych dostrzegł niesprawiedliwość wymierzoną w Arabów. Nie chodzi o to, że widział wszystkich Arabów w białych, a wszystkich Francuzów

w czarnych barwach. Trzeba być mu bardzo wdzięcznym za tę powściągliwość w wydawaniu sądów w stuleciu, którego regułą jest pośpiech.

Przypominam sobie, jak o wiele później, na moje pytanie: „Dlaczego nie zdecydujesz się na zamieszkanie w pięknym domu na wsi lub nad brzegiem morza w Algierii, skoro jesteś tak przywiązany do swojej ojczyzny, a obecnie jesteś w stanie kupić dowolną posiadłość”, Camus odpowiedział zmieszany: „Dlatego, że są tam Arabowie”, co nie miało oznaczać, iż Arabowie krępują go swoją obecnością, lecz wskazać fakt, iż są wydziedziczeni (nie biorąc pod uwagę natury i granic tegoż wydziedziczenia). Zrozumiała była jego delikatność. Żal, że została tak źle oceniona z jednej i z drugiej strony.

Pozwolę sobie przytoczyć teraz jedną rozmowę, która dobrze oddaje przeszłość.

- Szkoda – powiedziałem – że wśród autochtonów i kolonistów zabrakło ludzi takich jak pan, z pańskiego pokolenia, którzy mogliby pomóc w utworzeniu zdrowej Algierii...

- Zostałbym tam, gdyby mnie nie wyproszone. „Alger R publicain” został zakazany. Chciałem założyć ilustrowany, czysto algierski magazyn wraz ze starym drukarzem A... Makiety były już gotowe. Z kolei rząd w Algierze, dla którego pracował A. - i dzięki któremu zarabiał jedną trzecią swoich dochodów - ostrzegł go, że jeśli zostanie jego współpracownikiem, nie będzie mu dawać więcej zamówień. Zmuszony więc byłem udać się do Oranu, gdzie z trudnością dawałem sobie radę, zarabiając nauczaniem.

- Na początku należał pan do PPA (Parti Populaire Alg rien - Partia Ludu Algierii)?

- Tak, pracowałem w gazecie arabskiej. W tym czasie komuniści popierali nacjonalistów arabskich. Potem raptem ich porzucili. Młodzi Arabowie przychodzili do mnie, aby dowiedzieć się, co o tym myślę. To wtedy opuściłem partię komunistyczną...

*

Ale zostawmy przeszłość. Dla Alberta Camusa wojna w Algierii była wojną domową, w której mógł uczestniczyć po dwóch stronach jednocześnie.

Miał świadomość, że w sprawie Algierii zrobił wszystko, aby ostrzec Francuzów z metropolii. Zrozumiał też, że trzeba było bardzo poważnych wydarzeń, aby ktoś się tym zainteresował.

Stale powracał do tematu, który wydawał mu się centralny i służył mu za podstawę: „W każdym razie trzeba, aby Arabowie i Francuzi znaleźli sposób na wspólne życie, skoro są skazani na wspólne życie”. Nie uważał, żeby separacja pomiędzy nimi była możliwa i pożądana.

Na nieszczęście nie powstała w Algierii jakaś trzecia partia, jak to się stało za czasów Montaigne’a i Henryka IV, która umożliwiła Francji wyjście z wojen religijnych. Projekt rozejmu Camusa – projekt poniekąd skromny – nie miał żadnego odzewu.

*

Czy w Algierze żyło się spokojnie w 1955 roku? Nie, wieczorami wychodziło się na ulice z bronią. „Moja matka jest przestraszona, ponieważ pewnego wieczoru, w jej dzielnicy Belcourt, arabski kupiec został zasztyletowany, kiedy opuszczał metalową zasłonę”. Albert Camus próbował sprowadzić swoją matkę do Francji, chciał ją mieć przy sobie. Zgodziła się przyjechać, lecz nie potrafiła zdecydować się na pozostanie. Czuła się jak za granicą. To nie był jej kraj. Wujek także nie mógł zostać. Powrócili do Algieru, pomimo czyhającego tam codziennie niebezpieczeństwa.

Mimo wszystko w dniu 15 listopada 1955 roku Albert Camus oznajmił, iż jego matka i wujek zdecydowali się zamieszkać na południu Francji. Jednakowoż nie potrafili dotrzymać tej obietnicy.

*

Francuzi z Algierii? „Całkowicie zdecydowani są nie opuścić swojego kraju. Na nieszczęście ich postawa pozbawiona jest niuansów. Ocalenie widzą tylko w sile”. To prawda, w każdym razie przed 13 maja.

*

Francuzi z metropolii? „Nie interesują się Algierią. Dostaję listy od czytelników, nawet od ludzi wykształconych, którzy piszą: <Zostawmy Arabów i Francuzów z Algierii, żeby sami się dogadali!>.” Według Alberta Camusa taka postawa oznaczała i niewiedzę, i rezygnację. On sam pragnął stawić czoło temu problemowi, a nie go unikać. Stawić czoło! Oto odpowiednie wyrażenie, które by mu odpowiadało. Nie chciał ani kręcić, ani wycofywać się. Uważał, że Arabowie, Francuzi z Algierii oraz Francuzi z metropolii mają sobie do powiedzenia ostre słowa, które zapewniłyby pokój, utrzymanie legalnie zdobytych praw oraz pogodziły chcąc tu pozostać ludność. Krótko mówiąc Camus był za projektem Blum – Viollette’a przed wojną, a teraz opowiadał się za każdą inicjatywą zdolną doprowadzić do pokoju.

Poza tym Camusowi nie dokuczały wyrzuty sumienia, jak tyłu Francuzom z metropolii. Natomiast cierpiał na podobne do tych, jakie musiały trapić niektórych Francuzów z Algierii.

*

Szóstego lutego 1956 roku był – przed 13 maja 1958 – najważniejszym dniem w wojnie zwanej algierską. Tego to dnia IV Republika pokazała swoją niemoc w usiłowaniu zakończenia tej wojny, odgrywając rolę arbitra pomiędzy wrogimi stronami. Ówczesny premier mianował na gubernatora Algierii wojskowego dowódcę i zwolennika znalezienia kompromisu - musiał jednak pod presją wydarzeń przyjąć jego dymisję. Albert Camus był zaniepokojony. W knajpce, gdzie nazajutrz spotkaliśmy się, jej szef winał pisarzowi zawadiackich rodaków. Camus nie odpowiedział. Nadzieja na rozwiązanie oddalała się. Cierpiał z tego powodu.

*

Wiele kosztowało Alberta Camusa przygotowanie „Komitetu na rzecz rozejmu”, w wyniku czego musiał pojechać do Algierii w połowie stycznia 1956 r.

Nie miał prawie złudzeń co do jego skuteczności, ale widział w nim środek do wyjaśnienia sytuacji. „Każdy pokaże, czego chce”. W każdym razie pierwszym skutkiem jego propozycji miało być, jak mówił, doprowadzenie do wyjścia ludzi z cienia.

*

W 1956 Camus zajmował się losem przyjaciela, architekta i malarza i doprowadził do jego zwolnienia po wielu tygodniach uwięzienia.

Ten przyjaciel z lat młodości Camusa przyjechał do Paryża w 1957 r. Powiedział nam wówczas, że spędził siedemnaście dni w celi liczącej siedemnaście osób. Kiedy gniewny i wytatuowany kaid znajdujący się w celi dowiedział się, że jego przyjacielem jest Camus, który stanął w jego obronie, wykrzyknął: „Przyjaźń to coś pięknego!” Następnie zaczął deklamować ustępy z „Człowieka zbuntowanego”.

*

W tym samym 1956 roku wychodzi „Wygnanie i królestwo”, gdzie znajdują się świadomie różne (jeśli chodzi o tematykę i tonację) opowiadania. Dwa z nich: „Wiarołomna żona” oraz „Gość”, dzieją się w Algierii.

Skromny handlarz, algierski Europejczyk, który jest ograniczonym typem, jedzie wraz z żoną w oddalony region zwany M'zab. W regionalnej stolicy Ghardaïa uderza kobietę widok pańskiej postawy starego Araba, który wieczorem przechadza się powolnymi krokami po obwarowaniach miasta, nie racząc spojrzeć okiem na to, co go otacza. Żona zdradza swojego męża w myślach.

Ten kontrast pomiędzy Europejczykiem a Arabem jest bardzo silny. W pierwszej chwili czytelnik widzi, że jeden z nich traci swoją wartość na rzecz drugiego.

„Ale, jak zauważył Camus, trzeba jasno stwierdzić, że bez kontekstu historycznego, bez odniesień aktualnych, nie byłoby takiego efektu. Szlachetność postawy mieszkańca pustyni, jeśli porównać ją z zachowaniem miejskiego handlarza, jest nie do podważenia. Ponadto trzeba zauważyć, że ten nasz Europejczyk jest <prostym białym>”.

„W każdym razie nie ma powodu zmieniać niczego w tym, co uznaje się za prawdziwe, biorąc pod uwagę możliwe, przyszłe wydarzenia”. (Ta myśl Alberta Camusa jest bardzo znacząca dla jego przyszłego portretu).

W poprzedniej rozmowie z pisarzem stwierdziłem, iż z punktu czysto literackiego opowiadanie „Gość” kojarzy się z „Jerozolimą wyzwoloną”, w której pokazano tyle samo walecznych rycerzy w obozie muzułmańskim co w chrześcijańskim. Ujęcie takie pozbawione jest fanatyzmu. Tak czy owak Albertowi Camusowi nie zależało na tym, aby być docenionym przez Arabów czy Francuzów. Usiłował nie wpaść w pułapkę budującej literatury tej czy tamtej strony, i tłumaczył swoją myśl możliwie jak najbardziej dokładnie, niczego nie zmieniając.

W „Wiarołomnej żonie” Camus złagodził zły charakter męża, żeby uniknąć przesadnego kontrastu pomiędzy kobietą a mężczyzną.

Szukał nade wszystko równowagi. Dlatego przystąpił do projektu federacji gmin, jaki przedstawił pewien deputowany z Algieru.

*

W momencie, kiedy dowiedział się o przyznanej mu Nagrodzie Nobla (w październiku), którą miał odebrać w grudniu w Sztokholmie, powiedział: „Przygotowuję książkę o Algierii zaczynając się w 1914 roku. Chciałbym tam pojechać, aby w spokoju zobaczyć kilka miejsc. Czy znajdę czas na to w przyszłym miesiącu? To krótki termin”.

Tą książką miał być „Pierwszy człowiek”.

Wcześniej zamierzał skończyć teatralną adaptację „Biesów”.

*

W lutym 1958 Albert Camus był smutny, ponury, strapiony. Pytał samego siebie, czy ma zdecydować się na wyjazd do Algierii.

Odmówił podpisania deklaracji o Algierii.

Potępił francuskie bombardowanie Sakhiet.

Otrzymywał prośby o pomoc i wstawiennictwo i sam z własnej woli pomagał, interweniując oraz pisząc o ułaskawienia. Często pisał w razie potrzeby do przywódców obcych państw. Nie rozgłaszał tego ani publicznie, ani w kręgu swoich przyjaciół.

*

W Sztokholmie pewien Algierczyk z Kabylii zarzucił Albertowi Camusowi, że nie poparł Frontu Wyzwolenia Narodowego (FLN), na co pisarz odpowiedział, iż był pierwszym dziennikarzem wygnanym z Algierii dlatego, że stanął po stronie Arabów, a następnie – doprowadzony do ostateczności – rzekł: „Opowiadam się za sprawiedliwością, ale jeśli musiałbym wybierać między sprawiedliwością a moją matką, wybrałbym moją matkę”.

To wyznanie Camusa – według niektórych skandaliczne – widzieć należy pod kątem właściwym jego krajowi oraz tamtejszym ludziom.

Kiedy pisarz mówi o swojej matce i zapowiada, iż stanąłby za nią przeciwko „sprawiedliwości”, to w tym przypadku nie popełnia żadnego zła: matka i sprawiedliwość są w tym miejscu doskonale identyczne. Matka pochodziła z biednej rodziny, od dawna zamieszkałej na terytorium Algierii. Albert Camus dotknął tylko aluzyjnie problemu bardziej generalnego, który przekraczał jego przypadek. Nie było tu więc żadnego dylematu. Na inne pytanie tak odpowiedział: „W każdym razie mogę powiedzieć, iż moje pióro nigdy nie było na żołdzie ani jakiegokolwiek partii, ani państwa.” W tym momencie cała sala zaczęła klaskać, w tym i Algierczyk z Kabylii.

*

W sercu Alberta Camusa Algieria i matka stanowiły jedno. Łączył je tą samą miłością.

Obie stanowiły jego przeszłość. Już to powiedziałem: im bardziej pisarz był starszy, tym mocniej czuł w sobie potrzebę powrotu do przeszłości.

Paradoks polegał na tym, iż Algieria była dla tych, którzy się na niej osiedlali, ziemią bez przeszłości. Ludzie, którzy w 1848 r. udawali się Sekwaną - w tłumie zebranych w czasie wielkiego, ludowego zgromadzenia – w podróż barkami lub koleją z Paryża do Marsylii, a potem do Afryki, niczego nie pozostawiali za sobą i musieli utrzymać się na tej jałowej i wrogiej im ziemi, o której nic nie wiedzieli. Taki był los biednych. Na przykład korzenie ojca Alberta Camusa były w Alzacji, jego matka miała pochodzenie hiszpańskie. Dla takich jak oni wszystko było nowe, wszystko było do zrobienia.

Autor „Obcego” podczas poszukiwań swoich początków skonstatował, iż merostwa w Algierii nie miały archiwów. Przyszłość pełna była niepewności, jak on sam zresztą. Nic nie zostało zachowane. Budować, burzyć, odbudowywać, taka była codzienna praca tych ludzi bez przeszłości, bez kulturowanej tradycji, bez nadziei na wiedzę, bez przykładu przed oczami, którzy po prostu szczęśliwi byli, że żyją pod słońcem dnia.

Camus musiał opisać w sposób pełny i żywy stosunki panujące pomiędzy ludźmi przybyłymi na to wybrzeże śródziemnomorskie z różnych krajów a autochtonami. Mówienie o tym komuś, kto nie mieszkał w Algierii, jest rzeczą bezużyteczną. Jego „Chroniques algériennes” (1958, Kroniki algierskie) w wystarczający sposób wyrażają uczucia autora do kraju, który namiętnie kochał.

XI

Kiedy ponownie przeczytałem „Obcego” i jeszcze jedno dzieło młodego Camusa, wstrząśnięty byłem tym, co tam usłyszałem: dziki krzyk. Krzyk istoty dogłębnie nieprzejednanej. Krzyk stworzenia niesprawiedliwie zranionego. Krzyk, który jest czymś więcej niż krzykiem człowieka. Albo człowieka, który jest skazany i nie wie za co. Ale jest to krzyk, a nie żądanie wyjaśnienia, protest, nic z tego, czego wymagałby protokół sądowy. Krzyk zwierzęcia złapanego w sidła, które może się bić jak Kaligula, samooskarżać jak potępiony sędzia. W swojej istocie krzyk ten jest bez skazy.

Krzyk tak czysty, że nie musi być wyrażony. Dlatego paradoksalnie jest milczeniem. Człowiek poddany presji życia i społeczeństwa nie mówi nic. Siła, jakiej używa, aby zmusić się do milczenia, ma moc eksplozji i wybucha u tego, kto bacznie przysłuchuje się swemu niesłychanemu milczeniu.

Dotykamy tu jak palcem złotej reguły każdego udanego dzieła: jego efekt może jedynie odczuć ten, dla kogo jest ono przeznaczone. Nóż musi zagłębić się w ciele ofiary. Nie wolno temu, kto wyciąga nóż, bawić się nim. Aktor, autor, kompozytor muszą być jedynie wykonawcami w tym sensie, w jakim mówi się o kimś, że jest zatrudniony przy konkretnym dziele, a nawet że jest wykonawcą.

To wszystko, co nie odnosi się do wykonania, jest powierzchowne. To, co powierzchowne może być zaakceptowane w formie dekoracyjnej, kiedy dzieło potrzebuje sporo przestrzeni i czasu, aby się rozwinąć. I tak na przykład jest z „Pustelnią parmeńską” Stendhala, „Wojną i pokojem” Tołstoja, pałacem w Wersalu, placem św. Piotra w Rzymie, Sądem Ostatecznym, tetralogią. Jednak autor „Dżumy” się spieszył. Czas jego był policzony. Jego dzieła również. Trzeba było działać szybko.

W tym człowieku i jego dziele widzę cierni konieczności.

Najpierw konieczność zewnętrzna, a więc okoliczności, które zmuszają do odrzucenia danego mu losu przez człowieka we wrogim świecie: wrogość ta jest czymś niezrozumiałym.

Czy można było dostrzec u Camusa – nie powinienem zapominać, iż piszę tu o twórczości tylko przez odniesienie do człowieka - oznaki tej konieczności? Niewątpliwie. Najmniej widoczny był u niego pośpiech. Camus ukrywał go, aby nie można było w nim odkryć tego wewnętrznego fermentu, jaki towarzyszył mu przy pracy.

*

Rzecz szczególna, że temu pośpiechowi, aby podążać do końca, towarzyszy - gdy cel został osiągnięty - bezterminowy odpoczynek. Czy człowiek jest skazany bez odwołania, czy cieszy się życiem, niczym nie ryzykując, to i tak rozkoszuje się doskonałą obojętnością. Zastanawiam się, czy ta końcowa pogoda ducha nie jest bardziej rozzdzierająca niż początkowy bunt? To samo króluje milczenie, lecz zgoda nie jest nigdy rezygnacją. Ze wszystkich swoich sił człowiek dąży do szczęścia. Kiedy to szczęście zdobywa, odczuwa stan upojenia nie większy niż w sytuacji upadku pod przeciwnościami. Odnajduje – z mieszanką radości i goryczy – to wyzwolenie, które wynosi go ponad wszystkie doświadczenia. I to właśnie moc panowania nad sobą – w konsekwencji i nad rzeczami – czyni go na zawsze samotnym.

Dziki krzyk – ale czyż nie jest nim krzyk, jaki wyrzuca z siebie rosyjska rewolucjonistka na wieść o egzekucji ukochanego? Kiedy, dygocząc, pyta, co działo się w momencie egzekucji, dostaje odpowiedź: rozległ się straszliwy krzyk.

Czyż nie jest to ten sam krzyk, jaki wydaje w „Upadku” kobieta, rzucająca się do wody? Czyż „Krzyk” nie mógłby być pierwszym tytułem tej książki?

Wtedy lepiej rozumie się to wyznanie: „Wybrałem twórczość, aby uniknąć zbrodni”.

*

W życiu codziennym - a o takie tu tylko chodzi, a jeszcze bardziej o jego część pozornie najbardziej banalną - Albert Camus dawał dowody zimnej krwi, co było oznaką panowania nad sobą. Zwalczał u siebie pokusy cynizmu, które przydałyby jego językowi cięty ton i jednoznaczną postawę. Pewnego dnia widziałem go udającego amerykańskiego gangstera – ręce w kieszeniach garnituru z gabardyny, zimne oczy, nieczuła twarz - wszystko po to, aby zabawić się, aby ujrzyć „efekt”, podobnie jak aktorzy grający przed lustrem. Oprócz tego nie szukał wrogów, a jeśli kochał, to nie „przeciw” komuś. Zdolny był do podziwu, nie potrzebując niczego, co by mu posłużyło za przeciwwagę dla podziwianego obiektu.

*

Kiedy jest się przekonany, że dużo powiedziano się o Camusie, człowiek spostrzega nagle, że mógł jedynie opisać go i zdefiniować z zewnątrz, tak jak on sam się objawiał. Albert Camus nosił w sobie wielką samotność. Jego twórczość – od „Obcego” do „Upadku” – podlegała zmianom trudnym do określenia, w każdym razie znaczącym. Nie moim zadaniem jest zajmowanie się tym. Jeżeli chodzi o przyszłość, to nikt nie odgadnie, dokąd zaprowadziłaby go jego droga. Niektórzy z nas mieli pewne przypuszczenia, ale absolutnie żadnej pewności – zaledwie trudne do zinterpretowania sygnały.

W każdym razie Albert Camus daleki był od zakończenia swojej twórczości. Zaczął – paradoksalnie i inaczej niż wszyscy filozofowie – od wypowiedzenia „ostatniego słowa”, a możliwe, że nie powiedział pierwszego. Zaatakował otwarcie wielkie problemy, które go niepokoiły, usiłując znaleźć ich rozwiązanie, a przynajmniej chcąc przynieść ulgę ludzkiemu cierpieniu. Zdawało się – chyba że Camus świadomie to ukrywał – że pisarz znał, jakby drugim sobą, tajemnicę, która nie była gotowa do ujawnienia.

Paryż, 4 stycznia 1968

Aneks

Kalendarium życia i twórczości Alberta Camusa

7 XI 1913 – Narodziny Alberta Camusa w Mondovi, okręg Bône, departament Constantine, Algieria.

Ojciec pisarza Lucien Auguste Camus, prosty pracownik w przedsiębiorstwie winiarskim, jest potomkiem francuskiej rodziny przybyłej do Algierii w 1871 r. z Alzacji. Matka Catherine Sintès pochodzi z hiszpańskiej rodziny wywodzącej się z Majorki.

11 X 1914 – Lucien A. Camus umiera w szpitalu w Saint- Brieuc (departament Côtes du Nord, obecnie Côtes d'Armor) z powodu śmiertelnej rany odniesionej w czasie bitwy nad Marną na początku I wojny światowej.

Powrót matki pisarza z dwoma synami (starszy - Lucien urodził się w 1910 r.) do swojej rodziny w dzielnicy Belcourt w Algierze. Tu Albert Camus w skromnych warunkach materialnych spędza dzieciństwo i młodość.

1918 – 1924 – Uczeń dzielnicowej szkoły podstawowej. A. Camus, dzięki poparciu swego nauczyciela Louisa Germaina, otrzymuje stypendium na dalszą naukę w gimnazjum i liceum.

1924 – 1931 - Nauka w liceum w dzielnicy Bab-el-Oued w Algierze.

1930 – Pierwsze symptomy gruźlicy. A. Camus, jako „pupille de nations” (sierota wojenny), ma prawo do bezpłatnego leczenia.

1931 – Niezwykle ważne spotkanie z pisarzem Jeanem Grenierem, profesorem filozofii w liceum podczas ostatniego roku nauki, które zaważyło na losach Camusa.

VII 1932 – Egzamin maturalny i podjęcie decyzji o zostaniu pisarzem. Publikacja pierwszych artykułów w piśmie „Sud”.

1933 – W czerwcu ślub z Simone Hié. Małżeństwo przeżywa wiele kryzysów, które doprowadzą w krótkim czasie do rozwodu. Jesienią początek studiów uniwersyteckich. Decydująca dla powołania pisarskiego lektura książki „Les Iles” (Wyspy) Jeana Greniera: W epoce, kiedy odkryłem „Les Iles”, chciałem, jak sądzę, pisać. Po tej lekturze naprawdę zdecydowałem, że będę to robił. Inne książki też przyczyniły się do takiej decyzji. Zapomniałem o nich, kiedy wypełniły swoją rolę. Jednak ta, wręcz przeciwnie, nie przestaje żyć we mnie, odkąd ją czytam od dwudziestu lat. (A. Camus, Przedmowa do wydania „Les Iles” w 1959).

Z innych autorów przede wszystkim trzeba wymienić André Gide'a i jego „ Les Nourritures terrestres” (1897, Pokarmy ziemskie): Moja skłonność do Gide'a podwoiła się podczas

czytania „Dziennika”. On tam jest naprawdę ludzki. Poza tym nadal wolę go od każdego innego pisarza. (Z listu A. Camusa do J. Greniera, 20.5.1933).

1935 - 1937 – Członek Francuskiej Partii Komunistycznej. Intensywna działalność, głównie teatralna, w Maison de la Culture w Algierze.

1936 – Dyplom ukończenia studiów wyższych w dziedzinie filozofii (odpowiednik naszego magisterium). Podróż po Europie Centralnej.

1937 – debiut książkowy „L’Envers et l’Endroit” (Dwie strony tego samego), który A. Camus zadeedykował J. Grenier. Wydawnictwo Edmont Charlot, Algier, seria „Mediterranéennes”.

1938 – 1940 - Praca w dzienniku „Alger Républicain”. Spotkanie z Pascalem Pia (1903 – 1979), szefem pisma, który miał odegrać ważną rolę w dalszym życiu A. Camusa, m. i in. pomógł w wydaniu „Obcego”, kierował pismem „Combat”. A. Camus dedykował mu „Mit Syzyfa”.

1 IX 1939 – Wybuch II wojny światowej, 3 IX - przystąpienie Francji do wojny, 10 V 1940 – agresja Niemiec hitlerowskich na Francję.

1940 – Ślub z Francine Faure z Oranu. Wyjazd do Francji, praca w dzienniku „Paris – Soir”, pisanie „Obcego” i „Mit Syzyfa”. Ewakuacja na południe Francji. Podział Francji na dwie strefy: północną (okupowaną) pod panowaniem niemieckim, południową (wolną) – pod panowaniem kolaboranckiego, profaszystowskiego rządu Vichy, do którego należała Algieria.

1941 – powrót do Oranu, nauczanie w szkołach prywatnych, praca nad „Dzumą”.

1942 – wiosną wyjazd do Francji w celach zdrowotnych, w lipcu ukazuje się w wydawnictwie Gallimarda w Paryżu (zaakceptowany przez niemiecką cenzurę) „Obcy” oraz „Mit Syzyfa”. Początek nadzwyczajnej kariery pisarskiej.

8 XI - inwazja wojsk alianckich na francuską Afrykę Północną, wojna profaszystowskiego rządu Vichy z Aliantami, zwycięstwo ofensywy alianckiej, zajęcie południowej Francji przez Niemcy. A. Camus zostaje we Francji odcięty od rodziny.

1943 – W końcu roku przenosi się na stałe z południa Francji (z Le Panelier) do Paryża, gdzie zaczyna współpracować z podziemnym pismem „Combat”(Walka). Początek legendy A. Camusa jako członka Ruchu Oporu. Wcześniej A. Camus jako pacyfista był przeciwny wojnie z III Rzeszą. Wchodzi w ścisły krąg pracowników i pisarzy legalnego wydawnictwa Gallimard.

1944 – Spotkanie z Jean- Paul Sartrem (1905 – 1980) i Simone de Beauvoir (1908 –1986). Początek przyjaźni i „szkoły egzystencjalnej” (w każdym razie tak uznała – wbrew samym zainteresowanym – paryska publiczność i światowa opinia).

26 VI – pierwszy numer pisma „Combat” wydany w wyzwolonym Paryżu. A. Camus wraz z P. Pia kierują dziennikiem.

1945 – Urodziny syna i córki. Sukces sceniczny „Kaliguli”.

1946 – Podróż do Stanów Zjednoczonych. Ukończenie „Dzumy”. Przyjaźń z poetą René Charem (1907 –1988). Rozluźnienie więzi z „Combat”.

1947 – Odejście z „Combat”, m.in. spowodowane potrzebą zachowania przez A. Camusa niezależnej myśli politycznej.

Czerwiec – publikacja „Dżumy”, ogromny sukces u krytyków i publiczności.

1949 – Poważny nawrót choroby.

1951 – Ukazuje się „Człowiek zbuntowany”. Gwałtowne zerwanie Sartre’a z Camusem, który oskarża pisarza o nieznamość filozofii, pompatyczność, moralizatorstwo, pomijanie walki klas... Powodem faktycznego zerwania było bezkrytyczne opowiedzenie się Sartre’a za sowieckim komunizmem. A. Camus - jak np. R. Char – potępiają ostro komunizm jak i kolonializm.

XI 1954 – Wybuch powstania w Algierii (18 III 1962 – proklamowanie niepodległości). Wyjazd do Francji setek tysięcy kolonistów francuskich.

1956 – Nieudany apel o wprowadzenie rozejmu dla ludności cywilnej w Algierii. Sukces adaptacji teatralnej „Requiem dla zakonnic” według W. Faulknera. Ukazuje się „Upadek”, dobrze przyjęty przez czytelników, z mieszanymi uczuciami przez krytyków.

17 X 1957 – Literacka Nagroda Nobla. A. Camus jest dziewiątym laureatem - Francuzem. Przyznanie nagrody przyczynia się do zwiększonych ataków na pisarza, który albo „się skończył jako pisarz”, albo jest za „mało rewolucyjny”, albo jest przedstawicielem „przestarzałego, grzecznego humanizmu”...Dramat osamotnionego pisarza, oskarżającego się o niemoc twórczą.

Ukazuje się „Wygnanie i królestwo”.

XI 1958 – Kupno domu wiejskiego w Lourmarin w Prowansji, gdzie A. Camus dobrze się czuje.

1959 – Adaptacja teatralna „Biesów” według F. Dostojewskiego.

4 I 1960 – Śmierć w wypadku samochodowym podczas powrotu z Lourmarin, gdzie pisarz coraz częściej przebywał, do Paryża. W teczce pisarza odkryto rękopis „Pierwszego człowieka”(publikacja w 1994r.).

Kalendarium życia i twórczości Jeana Greniera

6 II 1898 – Narodziny w Paryżu Camille-Jean-Charles Greniera w rodzinie bretońskiej.

Okolo 1900 – Rozwód rodziców. Powrót z matką do rodzinnej Bretanii, powtórne małżeństwo matki (1909). J. Grenier nigdy nie poznał swojego ojca.

1904 –1915 – Uczeń szkoły podstawowej i od 1909 prywatnego gimnazjum Saint – Charles w Saint-Brieuc. Wakacje na wsi koło miasteczka Lannion w pobliżu morza.

1917 – Dyplom ukończenia wyższych studiów (licence – ès – lettres) na paryskiej Sorbonie. Spotkanie w miejskiej bibliotece Saint- Brieuc i początek przyjaźni z Louis Guilloux (1899 – 1980), przyszłym autorem słynnej „Czarnej krwi” (wydanie polskie 1961). Mój najstarszy przyjaciel, przyjaciel całego życia. Był ode mnie o rok starszy. Zawsze dobrze z nim się czułem, a on ze mną. Nasze myśli uzupełniały się, wyprzedzały. On ze mną, ja z nim – wszystko przychodziło i dochodziło z taką samą łatwością. Wydaje mi się, że przez całe życie prowadziłem z nim tę samą rozmowę, którą rozpoczęliśmy w dniu naszego pierwszego spotkania (fragment wspomnień L. Guilloux zatyt. „L’Herbe d’oubli, 1984, Trawa zapomnienia).

W ciągu najbliższych lat J. Grenier spędza tylko wakacje w Saint – Brieuc.

1921 – Pierwsza wyprawa do Włoch.

1922 – Egzamin agrégation z filozofii (uprawniający do stanowiska profesorskiego w liceach). Debiut w prasie literackiej o Prouście.

1923 – Pierwsza posada nauczycielska w liceum w Awinionie. Podróż do Austrii i Włoch z L. Guilloux. Latem przyjazd do Saint- Brieuc awangardowego poety i malarza Maxa Jacoba (1876 –1844) na spotkanie z J. Grenierem i L. Guilloux.

1923 -1924 – Pierwsza posada nauczycielska w Algierze. W maju 1924 współzałożyciel pisma „Philosophies”.

1924 –1926 – Profesor w Instytucie Francuskim w Neapolu, gdzie m.in. poznaje włoskiego filozofa Benedetto Croce. Pobyt ten okazuje się być ważny pod wieloma względami dla rozwoju osobowości przyszłego eseisty i filozofa. Wizyty francuskich pisarzy. Ważna podróż do Grecji (1926).

1927 - Przez kilka miesięcy sekretarz w wydawnictwie Gastona Gallimarda w Paryżu. Seria prelekcji w Holandii, Niemczech, Polsce, Czechosłowacji, Turcji i Grecji. Nawiązanie współpracy ze słynną Nouvelle Revue Française (NRF), kierowaną przez André Gide’a (1869 – 1951), Jeana Paulhana (1884 – 1968) i innych.

1928 – Ślub z Marie Serret w Lourmarin na południu Francji, gdzie J. Grenier często przebywał od 1925. Tu przed śmiercią osiadł także Albert Camus. Początek przyjaźni z pisarzami André Malraux (1901- 1976), Jeanem Guéhenno (1890 – 1978) oraz André Chamsonem (1900 – 1983).

1929 – Profesor w Albi. Urodziny córki.

1929 – 1930 – Podróż do Hiszpanii wraz z L. Guilloux.

1930 – Wyjazd na placówkę szkolną do Algieru, gdzie przebywa do 1938. Profesor filozofii w klasie Alberta Camusa. W momencie spotkania J. Grenier ma 32 lata, A. Camus - 17. Urodziny syna.

1931- 1932 – Współzałożyciel pisma „Sud”.

1932-1933- Ponownie jest profesorem Alberta Camusa, tym razem w klasie maturalnej (lettres supérieures).

1933 – Debiut książkowy „Les Iles”. Lektura zbiorku miniatur prozatorskich przyczynia się do powołania pisarskiego u Alberta Camusa: Chciałbym powrócić do tego wieczoru, kiedy na ulicy otworzyłem tę niewielką książkę i zamknąwszy ją po pierwszych przeczytanych zdaniach, przycisnąłem do siebie i pobiegłem do swojego pokoju, żeby ją w końcu bez świadków pochłonąć (Albert Camus, wstęp do reedycji książki w 1959 r.).

W tym niewielkim objętościowo zbiorze prozy poetycko – filozoficznej i elegijnych esejów zawarta jest cała przyszła twórczość autora: fascynacja Śródziemnomorzem i Orientem (Grecja – Indie itp.), przyrodą i kulturą miejsca, tajemnicą istnienia, poszukiwanie wtajemniczenia w esencję jednocześnie immanentnego i transcendentnego świata. Wszystko to skąpane w aurze nieokreślonej, indywidualnie odbieranej metafizyki bytu. W każdym razie autor opowiada się po stronie Nietzschego i Heraklita, a nie Parmenidesa i Hegla.

1936 – Obrona i publikacja pracy doktorskiej o filozofii Jules’a Lequiera (1814 – 1862), niezwykłego filozofa chrześcijańskiego, pochodzenia bretońskiego, zafascynowanego ludzką wolnością.

1938 – W lipcu J. Grenier z zalem opuszcza Algier i udaje się do Vannes na stanowisko profesora filozofii w Lycée Michelet. Częste od tej pory wizyty w Paryżu.

Publikacja nowatorskiej w wymowie, antyfundamentalistycznej książki „Essai sur l’esprit d’orthodoxie” (Esej o duchu ortodoksji), w której autor zawarł krytykę „wieku ortodoksji” (komunizmu marksistowskiego, tomizmu katolickiego...). Poniższe eseje są długim protestem przeciwko każdej ortodoksji. Ortodoksja jest przede wszystkim doktryną odrzucenia. Ortodoksja następuje po wierze. Człowiek wierzący wzywa wszystkich ludzi, aby dzielili z nim jego wiarę. Ortodoks odrzuca wszystkich ludzi, którzy nie dzielą z nim jego wiary. Ortodoksja jest doskonale bezkompromisowa.

1940 – 1941 – Praca w Montpellier, gdzie – też w charakterze profesora liceum – spotyka filozofa Gabriela Marcela (1889 – 1973).

III 1942 – 1945– Wykładowca (maître de conférences), następnie profesor tytularny na wydziale literatury uniwersytetu w Lille. Mieszka na stałe w Paryżu. Uczestniczy w wielu prywatnych spotkaniach z pisarzami. Od 1943 pracuje również dla wydawnictwa Gallimard, kierując serią „Métaphysique”.

VI 1942 – VIII 1944 – Współpraca z legalnie wychodzącym pismem „Comoedia”.

Jesień 1944 – jesień 1945 – Prowadzi za namową A. Camusa kronikę literacko – artystyczną w dzienniku „Combat”.

1945 (grudzień) – 1950 – Objęcie posady profesora literatury na uniwersytecie w Aleksandrii, a potem w Kairze (1948). Aktywne życie w kręgu egipskiej i francuskiej elity kulturalno – intelektualnej. Początkowo sympatyzuje z poglądami filozofów egzystencjalnych (G. Marcel, J. Wahl), później przeciwstawi się J.- P. Sartre'owi, oskarżając go o ortodoksyjność. Publikuje „Entretiens sur le bon usage de la liberté” (Rozmowy o dobrym stosowaniu wolności, 1948) oraz „Lexique” (1949, wydanie kolejne oraz dalsze części 1955, 1959, 1973).

VIII 1947 – Wyprawa wraz z A. Camusem do Saint – Brieuc, gdzie na cmentarzu w kwaterze wojskowej znajduje się grób ojca Camusa. A. Camus poznaje L. Guilloux. Bretania. Cmentarze, inwalidzi, dworce itp. W porównaniu z Afryką Północną żadnych specjalnych widoków, wyjąwszy Combourg i Saint – Malo. (Zapis w dzienniku J. Greniera z 4 VIII 1947r.).

III 1949 - Prix du Portique za całość twórczości.

Nie uważam, że oślepiają mnie własne uczucia w stosunku do Jeana Greniera, kiedy mówię, iż czas nie przestanie przesuwac jego twórczości w stronę prawdziwego miejsca pomiędzy najpierwszymi. Wdzięczność oraz uczucie mogą wpływać przez jakiś czas na opinię. Ale oto już więcej niż 15 lat (w ciągu tylu lat można nauczyć się wagi słów), jak czytam tę twórczość, bez przerwy odnajdując w niej powody do refleksji i podziwu. (Fragment przemówienia A. Camusa wygłoszonego w radiu z okazji przyznania nagrody J. Grenierowi).

Jesień 1950 – Powrót na uniwersytet w Lille. Aktywna działalność filozoficzna, pisarska, intelektualna. Członek Société Européenne de Culture. W latach 50. często publikuje artykuły o sztuce w „L'Express” (1955-1956), „Preuves” (1953 – 1963), „L'Oeil” (1955 – 1959).

1952 – Wydanie w opracowaniu J. Greniera dzieł zebranych J. Lequier'a.

1957 - Publikacja ważnych książek eseistycznych: „L'Esprit du Tao” (Duch tao), „Les Grèves (Kamienne wybrzeże, wspomnienia z młodości spędzonej w Bretanii), „L'Existence malheureuse” (Istnienie nieszczęśliwe). Człowiek nie musi się pytać czy powinien być optymistą, czy pesymistą. Umiera, a ci, których kocha, umierają również. Rzeczy, które go otaczają, giną także. Nie natychmiast oczywiście. Cedr trwa dłużej niż polny kwiat, słoń dłużej niż owad. Ale czas nie ma tu nic do rzeczy. „Długo”, „krótco”, co to znaczy? Albo jest kres, albo go nie ma. Człowiek naturalnie boi się śmierci i to tym bardziej, iż jest istotą najbardziej żywą i najbardziej świadomą(...). Należy zapytać, czy w rzeczywistości ludzka słabość nie zawiera w sobie jakiegoś znaczenia, nawet wbrew nam samym.

1959 – „Essais sur la peinture contemporaine” (Eseje o malarstwie współczesnym). Grenier był wnikliwym i subtelnym krytykiem plastycznym i teoretykiem sztuki.

1962 – Otrzymuje nominację na katedrę estetyki i wiedzy o sztuce w paryskiej Sorbonie.

1963 – „Entretiens avec 17 peintres non figuratifs” (Rozmowy z 17. malarzami niefiguratywnymi).

V 1968 – Odejście pisarza na emeryturę. Wydanie „La Vie quotidienne” (Życie codzienne) oraz „Albert Camus. Souvenirs” (Albert Camus. Wspomnienia). Grand Prix National des Lettres po ukazaniu się wspomnień.

1969 – ukazuje się wywiad książkowy z pisarzem zatyt. „Entretiens avec Louis Foucher”: Nikt nie mówił o słońcu i morzu – rozumiem przez to krainę śródziemnomorską – tak jak Albert Camus. Czynił to w tak przejmujący sposób, że nie czyta się tego, co napisał jedynie z podziwem, lecz także z sercem. Jediną moją prawdopodobnie zasługą było wyjawienie tego, co było w nim samym najgłębsze(...).

W rezultacie jedynym szczęściem jest to, które daje pokój serca, a pokój ten otrzymuje się przez – nie chciałbym powiedzieć, że przez wyrzeczenie ani ofiarę, przerażają mnie te słowa – lecz przez wycofanie w głąb samego siebie.

1970 – Ostatnia podróż do Bretanii.

5 III 1971 – Śmierć Jeana Greniera w szpitalu w Dreux.
Ukazuje się „Mémoires intimes de X.” (Intymne pamiętniki X.)

1973 – „Voir Naples” (Zobaczyć Neapol). Tę autobiograficzną książkę Grenier zaczął pisać w 1956 r. i nie zdążył dokończyć.

1981 – Tom korespondencji „Albert Camus – Jean Grenier: Correspondance 1932 – 1960”:
Powinienem również szczerze powiedzieć o buncie i chrześcijaństwie. Wydaje mi się jednak, że mam jeszcze dużo do przejścia i nauczania się. Dzisiaj moją jedyną obawą jest to, że nie przyznaję wystarczająco sprawiedliwości i miłości temu wszystkiemu, co zasługuje na sprawiedliwość i miłość. Wiem zresztą, że jest to niemożliwe. Na przykład, jeśli uznaję wielkość ewangelii, to nie potrafię przestać sądzić historycznego chrześcijaństwa bez pobłażania. Niech mi pan uwierzy, wiem, że są tajemnice. Ja jednak jestem bardziej czuły na tajemnice natury niż historii. (...). Cóż miałbym tutaj podziwiać i kochać? Ja, który nigdy nie poczułem w sobie religijnej duszy, jak tylko przed morzem lub nocą? (Z listu A. Camusa do J. Greniera, 18 X 1951)

1991 – „Carnet 1944 – 1971”. Pośmiertna publikacja dzienników pisarza przygotowana przez Claire Paulhan.

Jedynie szczęśliwe chwile: kiedy piszę (19 VI 1970).

1997 – „Sous – l’occupation” (Pod okupacją). Wydany z rękopisu przez Claire Paulhan - tom zapisków z lat II wojny światowej (szczególnie z okresu 1940 – 1942), w którym J. Grenier codziennie wieczorem notował swoje spostrzeżenia, przytaczał całe rozmowy i cudze opinie (od kolaborujących po ukrywających się pisarzy, ale również ludzi przypadkowo spotkanych), odnoszące się do sytuacji Francji lat wojny. Grenier był zwolennikiem „niedziałania”, wou – wei, nie wierzył w moc oporu wojskowego przeciw III Rzeszy. Uznał, iż jego rolą jest świadome zbieranie świadectw epoki.

Posłowie

Tak, mam ojczyznę: język francuski.
Albert Camus

*

Jean Grenier, nieznany w Polsce, a we Francji prawie zapomniany (choć ostatnio w Saint-Brieuc poświęcono mu ważną konferencję) pisarz i intelektualista, opuścił w młodości rodziną Bretanię, aby – pomimo zrodzonych tam przyjaźni z anarchizującym filozofem Georges Palantem i przyszłym pisarzem Louis Guilloux - nigdy nie powrócić. W każdym razie jego wyjazd nazwać można ucieczką: Byłem wykończony tym szarym niebem, deszczem, wiatrem, chłodem, zresztą względny, krótkością lata i przede wszystkim niepewnością, jaka będzie pogoda jutro. Jak tylko mogłem uciec, uciekłem.

J. Grenier nie chciał - w odróżnieniu od podziwianego, chrześcijańskiego filozofa wolności Jules'a Lequier, który był naprawdę Celtem i nie miał nic z człowieka śródziemnomorskiego – powrócić do swojej małej, północnej ojczyzny, ponieważ odkrył światło, ciepło, pewność w krainach Morza Śródziemnego. Śródziemnomorze to mityczna kraina wielkiego pisarza i myśliciela Alberta Camusa, który na swojej drodze spotkał – jako nauczyciela, jako mentora i mistrza – estetę zakochanego w przestrzennym i wyrazistym pięknie śródziemnomorskich form widzialnych (a Bretania była mglista i zmienna). W ten sposób szczęśliwy los czy przypadek już na zawsze ich połączył.

Albert Camus, potomek piersi noirs, czyli francuskich kolonistów w Algierii, zmuszony został opuścić swoje strony rodzinne, gdzie - pomimo wielokrotnych powrotów – został na zawsze człowiekiem obcym. W tym ogromnym kraju, który tak kochał, był sam. Był samotny również we Francji, był samotny w ojczystym kraju, nie potrafił uporać się z konfliktami algiersko- francuskimi, pozostał – w opinii potomnych – piewą absurdu, buntu, wolności i heroizmu, a więc cnót raczej samotnych i tragicznych, pomimo iż również, jak chciała krytyka literacka, opiewał i uświęcał morze i słońce.

Wspomnienia Jeana Greniera są oczywiście w równym stopniu opowieścią o A. Camusie, jak i o samym autorze. To zrozumiałe. Los ich zetknął, a z nich dwóch młodszego uczynił światową sławą – uczeń przerósł nauczyciela. Camus na zawsze pozostanie w życiu Greniera – czułym świadkiem jego literackiej i zawodowej młodości (okres wpływu „Les Iles”), sławnym przyjacielem, nieustającym (choć fizycznie często nieobecnym) i inspirującym świadkiem czy interlokutorem monologów wewnętrznych. Apolliniści Camus był jakby południową (śródziemnomorską), helleńską częścią duszy Greniera, północną natomiast stanowił Guilloux, lokalny patriota bretoński oraz dionizyjski socjalista.

I Camus, i Grenier poszukiwali jakiegoś stałego, stabilnego punktu w życiu, w światopoglądzie (mit harmonii), w przyrodzie (mit i urok wyjątkowych chwil), w sobie (z tym było najtrudniej). Bretania i jej mieszkańcy nie mogli tego dać młodemu Grenierowi. Ład i stałość odkrył – może dzięki słonecznemu światłu – dopiero na południu Europy (Włochy, Grecja), we francuskiej Prowansji oraz w Afryce Północnej. W jego charakterze było szukanie olśnień, egzaltacji, zauroczeń chwilą, obrazem, widzialnością: przemijalną i wieczną zarazem stroną widzialnego świata, którego kontemplacja nie była bezużyteczna, ponieważ prowadziła do tajemnicy życia w ogóle. Fascynowało go zło, wolność, przeznaczenie, zmysłowe i duchowe piękno. Jeśli chodzi o wolność, to jego nauczycielami byli – uczuleni na wolność człowieczą i niezależność myślową - myśliciele bretońscy: wspomniani już G. Palante i J. Lequier (obydwaj zginęli śmiercią samobójczą). W Grenierze było coś z mnicha i nomady zarazem, estety i etyka. Był krytykiem ortodoksyjnych światopoglądów i religii oraz

intymnie i głęboko wierzącym (początkowo w nieobecnego Boga) człowiekiem. Był pełen sprzeczności, a więc był umysłem żywym i poszukującym. W końcu życia przestał się buntować, w czym pomogła mu długoletnia fascynacja filozofiami i religiami Dalekiego Wschodu (hinduizm, buddyzm, taoizm) oraz powrót do nieortodoksyjnego katolicyzmu (oczekiwanie na łaskę wiary)...

Camus jest i pozostał symbolem buntu, niezgody, absurdalnej kondycji ludzkiej. Nie potrafił zaakceptować śmierci i może dlatego przyszła ona do niego znienacka. Myślę, że Grenier przekazał mu swój – ten świadomy i podświadomy – bunt, może po prostu nienasycenie życiem, albo jeszcze lepiej i precyzyjniej: pokazał, iż pisarstwo jest żywą manifestacją fundamentalnych pytań. Grenier wydobył z Camusa to, co już się w nim krystalizowało, a mianowicie wielką potrzebę stawiania pytań światu i wymierzanie mu sprawiedliwości za pomocą pisanego słowa, żeby już nie wspominać pochwały Śródziemnomorza, hellenistycznej tradycji i samego światła, które pewnego ranka przestało służyć harmonii, a stało się światłem bezlitosnym, nielitościwie odkrywającym przed oczami ludzi absurdalną i umowną strukturę rzeczywistości („Obcy”).

Jeden i drugi- jak wielu im podobnych w okresie poprzedzającym i następującym po II wojnie światowej – chcieli odnowić człowieka. Chodziło im o odrodzenie jego substancji metafizycznej i moralnej. W takim przypadku, gdyby jedyną obowiązującą etyką był brak nienawiści, to Camus, Grenier oraz Guilloux (laicy apostołowie takiej moralności) mogliby spokojnie podziwiać piękno stworzonego świata i łatwiej pogodzić się z nieodwołalnymi wyrokami losu, jak śmierć, nieodgadniony los, zło i niedocieczona tajemnica istnienia. Niestety ani im, ani nam nie jest to pisane.

*

Nie ma ojczyzn, są tylko osoby.
Jean Grenier

Jean Grenier, temperament elegijny, przeniósł się z zimnego oceanu nad ciepłe morze, ale chyba w swojej istocie na zawsze pozostał Bretończykiem, bo pod koniec życia przyznał, iż całe piękno świata, którego szukamy gdzieś daleko, znaleźć możemy w ziemi rodzinnej. To usilne szukanie zewnętrznej tajemnicy świata i wewnętrznej tajemnicy egzystencji stało się jego własnym morzem duchowych przyływów i odpływów i ten ustawiczny (nie zawsze jednak harmonijny) ruch uczucia i refleksji chyba najbardziej go określa jako wiecznego wędrowca, nawracającego się pod koniec życia na tradycyjną religię afirmacji.

Na początku swojej drogi autor wspomnień o Albercie Camusie był zdecydowanym estetą, łowcą mistycznych chwil Śródziemnomorza, przekonany filozoficzny sceptykiem, żarliwym humanistą, i jako taki wpłynął na zakochanego w swojej małej ojczyźnie przyszłego laureata nagrody Nobla. Pod koniec życia ten agnostyk i amator orientalnych wierzeń (w tym Pustki jako składnika pojęcia Transcendencji) począł się skłaniać w stronę- był mimo wszystko z pochodzenia bretońskim katolikiem – tradycyjnie rozumianej religijności. W każdym razie świat w sposób bardziej zdecydowany zaczął mu się jawić jako teofania. Przeszedł więc od życia estetycznego (zgodnie z nauką Kierkegarda) do religijnego, a więc w tym ujęciu głębszego i bardziej autentycznego.

Upojenie i przerażenie chwilą (która ujawnia w swojej momentalności piękno i dramat życia), wrażliwość filozoficzna i etyczna (problem zła oraz sekret losu), uczulenie na tajemnicę obecności - widzialności, niekonwencjonalna i nieortodoksyjna lewicowość, kult wolności i jednostki oto – jak myślę – najważniejsze (poza podkreślaną miłością do Śródziemnomorza) wspólne wartości, jakie pojawiły się (ujawniły swoją moc) w trakcie wieloletnich kontaktów Greniera z Camusem.

Jasne, że się różnili. Zresztą nie tylko skalą talentu i intensywnością uczucia. Camus był mimo wszystko humanistą, klasycznym oświeceniowym humanistą egzystencjalnym. Grenier był wątpliwym humanistą, a już na pewno nie oświeceniowym, ponieważ wątpił inaczej w człowieka niż jego wybitny uczeń (szukający heroizmu, a nie momentalnej łaski) i poszukiwał jakiegoś (niejasnego) zbawienia na styku spięcia Natury z Boskością (Nieskończonością). Camus był szczery i osobisty aż do bólu. Grenier wycofany, konwencjonalny, poszukujący form zastępczych dla dławiących go obsesji i wątpliwości. Grenier był wierzącym sceptykiem – estetą (!), Camus etykiem metafizycznej rozpaczki. Poza tym Camus nie był elegikiem, lecz tragikiem. Nie miał też tak rozwiniętego estetycznego temperamentu literata jak Grenier, pisarstwo było jego autentycznym, jakby naturalnym, żywiołem, a nie tylko pięknym stylem czy rodzajem inscenizowanego spektaklu przeżycia i pisania. Nie był też klasycznym introwertykiem i samotnym estetą. Doskwierała mu samotna, bo jakby nieludzka, wielkość zmagania się ze swoim czasem, historią, odpowiedzialnością. To posłannictwo różniło go od swojego nauczyciela, który wolał mniejsze skale przeżyć i wyzwania, ale to właśnie on sam przyczynił się jakoś do powstania tego nienasyconego serca i umysłu.

Obaj byli piewcami nieposkromionej mocy życia, obaj ulegali urokowi zmysłowego świata, obaj byli – chociaż inaczej – nieszczęśliwi na śmiertelnej Ziemi, obaj uprawiali eseistyczne, fragmentaryczne formy wypowiedzi, obaj dążyli do wypowiedzenia dręczącego ich pytania o sens i trwałość istnienia. Siła wypowiedzi Camusa i leżący u ich źródła ton egzystencjalnego niepokoju są (chyba?) nadal aktualne. Utwory Camusa stały się klasyką dramatycznego XX wieku. Utwory Greniera pozostaną na zawsze w cieniu tamtych, kiedyś epokowych dokonań, co wcale nie znaczy, że nie warto z nimi się zapoznać. Ten głęboki bretońsko- śródziemnomorski umysł, zapisany na kartach licznych, chociaż niewielkich objętościowo książek, wart jest i lektury, i życzliwej pamięci. Wydaje mi się, iż w obecnej chwili to właśnie w Polsce – kraju eseju i literackich (europejskich) dzienników z pogranicza gatunków - twórczość Jeana Greniera, mocno osadzona w europejskiej tradycji Pana Cogito i wychylona w stronę Orientu, mogłaby się rzeczywiście spodobać...

*

W domu Louis Guilloux w Saint Briec w Bretanii - zamienionym w muzeum i dom spotkań literackich - na ostatnim piętrze mieści się dawny gabinet autora „Czarnej krwi”, którą notabene uważam za lepszą od porównywalnej powieści Canettiego „Auto da fé”. Na poddaszu tym, z widokiem na całe miasto (któremu nieraz dostało się od pisarza!), a przy dobrej widzialności na zatokę, dostrzegłem, oprócz oczywiście książek Guilloux, wiele dzieł Alberta Camusa (plus fotografie), którego obecność czuło się tutaj niezwykle intensywnie. Alberta Camusa z Louis Guilloux poznał po II wojnie ich wspólny przyjaciel, Jean Grenier, który z kolei spotkał przyszłego bretońskiego pisarza w 1917 roku. Tych trzech łączyło na pewno lewicowe, antypartyjne zaangażowanie, ton etyczny w twórczości i szacunek dla wolności. Greniera i Guilloux łączyło ponadto coś jeszcze, a mianowicie kult dla umarłego przed laty prowincjonalnego filozofa, profesora liceum, do którego chodził Guilloux, a którego poznał osobiście, po pewnym czasie, autor „Wysp”. Georges Palante, bo o tego

melancholika chodzi, był osobowością niezwykłą. Ten miłośnik anarchii, indywidualizmu, pierwszy odkrywca Freuda we Francji, nie mógł pogodzić się z prowincjonalnym otoczeniem, w którym wypadło mu żyć. Popęłił samobójstwo rozgoryczony do świata i do ludzi w taki sposób, że podejrzewać można, iż ogólnie znany powód (niedoszły pojedynek i uszczerbek na honorze) był jedynie pretekstem do porzucenia tego padołu. Z rozmów i spotkań z Palantem Grenier wyniósł niewątpliwie jedno. Otóż zrozumiał, iż jego powołaniem jest filozoficzno - estetyczne poszukiwanie prawdziwego człowieka, istoty wolnej i zdecydowanie nieufnej wobec wielkich prądów ideologicznych i politycznych. Tym umiłowaniem wolności i kultem indywiduum zaraził po latach Alberta Camusa.

Z okien swojego gabinetu Louis Guilloux widział ponadto cmentarz, na którym spoczywały szczątki ojca Alberta Camusa, gdzie i autor „Czarnej krwi” w końcu znalazł wieczną kwaterę. „Pierwszy człowiek” Camusa rozpoczyna się podróżą do grobu ojca. Pociąg mknie właśnie w stronę Saint- Brieu. Tak też było w 1947 roku, kiedy wraz z Grenierem przybył do rodzinnego miasta Guilloux autor „Obcego”. Bretania nie spodobała mu się. Sam Grenier uciekł stąd przed laty w obawie, iż „choroba celtycka” (jak mawiał) i jego dosięgnie. Guilloux trwał na posterunku, chociaż niejednokrotnie wyklinał na to miasto drobnomieszczańskich obywateli. Nie wiem, czy fakt, iż na tym samym cmentarzu leży Roger Nimier (1925 – 1962), młodo zmarły pisarz zbuntowany przeciwko literaturze zaangażowanej i filozoficznej (powojenne pokolenie „hussards”), jest symboliczny czy tylko przypadkowy...

*

Postanowiłem przełożyć wspomnienia Greniera o Camusie z prostego powodu: kiedyś lektura książek Camusa („Obcy”, eseje) była dla mnie objawieniem mojej własnej sytuacji egzystencjalnej; ponadto od kilku lat zajmuję się literaturą i kulturą francuskiej Bretanii. Książka Jeana Greniera – pisarza francuskiego pochodzenia bretońskiego i jednocześnie autora relacji o Camusie – jest więc świetną okazją, aby połączyć te dwie fascynacje z korzyścią, taką wyrażam nadzieję, dla polskiego czytelnika.

*

W tym miejscu chciałby podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do wydania niniejszej książki, a szczególnie państwu Elisabeth i Alainowi Grenierom z Paryża za wyrażenie zgody na tłumaczenie i publikację.

Kazimierz Brakoniecki

Dwa domy filozofów bretońskich w Côtes d'Armor

1.

Nigdy bym nie odgadł
że w tym domu zabił się filozof
schorowany zawstydzony starzec
z bolącą naroślą głowy
z granitami obłych stóp
szorstki domek z kamienia
wypolerowany kolorowym wiatrem
wciśnięty gwałtownie w rozwarte zbocze
mokry pysk i obnażona szczęka
żałuzje czerwone i zielone
od dawna zamknięte
śmieszne dachówki świeżo pomalowany płótek
asfaltowa dróżka która urywa się
silnym chrapnięciem brunatnego morza
odorem rozkładających się alg

la Grandville
a zaledwie kilka spierzchniętych zagród
pochowanych w miłych zaroślach i tujach
w rozpadliskach granitu i wichru

To w tym zamkniętym pokoju
który słońce przestrzeliwuje na próżno
zabił się strzałem w usta
Palante profesor filozofii w liceum
do którego chodzili Guilloux i Grenier
„nietzscheański anarchista”
postrach lokalnej stolicy
wychowawca bretońskich chłopców
których wnet zarosła I wojna

Furtka otwarta wita jegomość
w niebieskim fartuchu
„Panie mer chciał tu tablicę przybić
ale czy to był Mozart
lub ktoś taki żeby to robić?”

Pustka
kręcące się morze wokół oślizgłych alg
oko okiennic i powieka powietrza
szczelnie zamykająca przestwór
wysysający barwy ziemi wiatr
szczelnie zawarte okiennice
gdzie niewidzialnie oddycha dom
pochylony nad sylwetką śmierci

zbuntowanego starca

Próżnia

zbieranie i rozsypywanie słów
rozdarte stronice horyzontów
wiatr od prostolinijskich wysp

2.

Dom bardziej romantyczny niż inne
oporny zasklepiony w sobie mocarny
krwawiący w milczeniu
w granitowych szczelinach
celtycki menhir esencja mocnej ziemi
teraz przeobrażony w rodzinny dom farmerów
traktor buczy na podwórku
sterta słomy koleiny błota
w ciemnym sadzie wiejąca bielizna
którą przetrzepuje uparcie grudniowe słońce
i ten mur z kamienia wokół
przeplatany bluszczem
pokruszony ulotną pamięcią ptaków

Wygaszone domostwo z którego rankiem
wyszedł filozof wolności Lequier
bretoński Kierkegaard
aby już nie powrócić więcej
morze go ukołysało i oddało ludziom
tego nieszczęśliwego kochanka
który listy składał w nadmorskim dębie

Czy utonął czy nie wytrzymało serce
tego już nikt się nie dowie
a nawet nie chce wiedzieć
gdzie swojski żywot pędzą
gołębie kosa wrony i mewy
gdzie czuwa wygaszony dom
którego ciężki żar spływa
do otwartej biblii morza

Kazimierz Brakoniecki

Domy Bretanii w Poznaniu i Wałbrzychu, Centrum Polsko – Francuskie Côtes d’Armor – Warmia i Mazury w Olsztynie (zwane inaczej Domem Bretanii na Warmii i Mazurach) zajmują się inicjowaniem, wspieraniem i realizacją współpracy kulturalnej, społecznej, ekonomicznej, międzyinstytucjonalnej pomiędzy poszczególnymi departamentami francuskimi w Bretanii (Ille- et- Vilaine – Poznań/Wielkopolska, Côtes d’Armor – Olsztyn/Warmia i Mazury, Morbihan –Wałbrzych/miasto i powiat) oraz szerzej – Polską i Francją. Domy prowadzą kursy języka francuskiego, posiadają biblioteki i czytelnie książek i prasy francuskiej, urządzają spotkania kulturalno – literackie, wystawy, projekcje filmów, są miejscem spotkań i działalności stowarzyszeń polsko – francuskich. Zajmują się też promocją gospodarczą i upowszechnianiem wymian międzyszkolnych. Organizują m.in. Dni Kultury Francuskiej oraz Dni Bretanii.

Centrum Polsko – Francuskie Côtes d’Armor – Warmia i Mazury
10-542 Olsztyn, ul. Dąbrowszczaków 39, I p.
tel. (089) 527 63 73
fax (089) 534 99 33
e-mail: Fran-Pol@wbp.olsztyn.pl

Dom Bretanii w Poznaniu
61 - 772 Poznań, Stary Rynek 37
tel. (061) 851 68 51
fax (061) 851 68 50
e-mail: dombretanii@kki.net.pl

Dom Bretanii w Wałbrzychu
58 – 300 Wałbrzych, ul. Zamkowa 3
tel./fax (074) 843 43 07
tel./fax (074) 844 05 08

Jean Grenier

Albert Camus. Wspomnienia

Przełożył z j. francuskiego i opracował
Kazimierz Brakoniecki

Portret Alberta Camusa narysował
Tanguy Dohollau

Redakcja
Alicja Bykowska – Salczyńska

Korekta
Hanna Brakoniecka

Redakcja techniczna
Halina Piotrowska

ISBN 83 – 908534 – 2 - 6

Książka ta ma na celu jedynie przypomnieć pewne aspekty osobowości Alberta Camusa. Nie pretenduje ona ani do ukazania jego życia, ani do omówienia jego dzieła – to życie i to dzieło były już i są nadal badane w najdrobniejszych szczegółach.

Zawsze będę pamiętać to spotkanie z Albertem Camusem, kiedy miał on zaledwie siedemnaście lat. W 1930 roku, kiedy zostałem mianowany profesorem w liceum w Algierze, był uczniem ostatniej klasy humanistycznej...

Jean Grenier